TYDZIEN

Nr 46 (70) ROK II

16. XI. 1947

CENA 20 ZŁ



NASTĘPNY NUMER BOGATO ILUSTROWANY W OKŁADCE WYKONANEJ TECHNIKĄ ROTOGRAWIUROWĄ

NASZA OKŁADKA



Rys. J. Mucharski

LEGENDA MYŚLIWYCH

Anglia za żelazną kurtyną

MIELIŚMY jak dotychczas niejednokrotnie okazję słyszeć ubolewania prasy anglosaskiej na temat „żelaznej kurtyny", mitycznej jakiejś przegrody, oddzielającej wschodnią i środkową Europę od zachodu. Okazuje się jednak, że ta „żelazna kurtyna" wyhodowana w żywej wyobraźni niektórych bardziej tępych polityków i dziennikarzy, żwawo biega sobie po całej Europie, przenosząc się z miejsca na miejsce w miarę zapotrzebowania tychże zainteresowanych w jej istnieniu osób.

Okazuje się ni mniej ni więcej, iż w jej zasięgu groźnym a ponurym znalazła się ostatnio... Wielka Brytania. Tak stwierdza „News Chronicle", brytyjski konserwatywny dziennik. Rząd brytyjski celem zaoszczędzenia dewiz wprowadził niezmiernie ostre ograniczenia pieniężne dla osób wyjeżdżających za granicę. Pismo ubolewa, iż w ten sposób więzi się obywateli brytyjskich w ojczyźnie i uniemożliwia im kontakt z szerokim światem. „Żelazną kurtyną chce nas odgrodzić rząd Partii Pracy od całego świata" — biada „News Chronicle". Złe czasy nastały dla bogatych angielskich turystów. Robotnik brytyjski już nie chce więcej pracować tylko po to, aby jego zamożniejsi ziomkowie mogli wydawać ciężkie funty w europejskich uzdrowiskach i na dalekich morzach. Robotnik brytyjski woli pracować na chleb i ubranie dla siebie, swych dzieci i całego narodu. Straszne rzeczy dzieją się za angielską żelazną kurtyną... (Z)

Tylko dla kobiet...

DWIE pocieszające wiadomości. Po raz pierwszy kobieta została ministrem spraw zagranicznych. Jest (nią — czy nim?) Anna Pauker, która zajęła miejsce ministra Tatarescu w rządzie rumuńskim. Mówiło się często, gdy niektórzy możni tego świata ulegali wpływom i podszeptom dam swego serca, pragnących maczać delikatne paluszki w wielkiej polityce: „Światem rządzą mężczyźni, a mężczyznami kobiety". Jakaż rola przypadnie teraz w udziale emerytowanym panom świata, jeśli więcej kobiet sięgnie po ministerialne portfele i to tak ciężkiego kalibru, jak zagraniczna teka? I czy zechcą kobiety, nauczone wielowiekowym doświadczeniem, słuchać męskich rad, tak, jak mężczyźni słuchali nieraz kobiecych inspiracji?

A oto druga wiadomość: szereg wybitnych osobistości w Wielkiej Brytanii złożyło memoriał o dopuszczenie 22 kobiet do Izby Lordów na zasadzie ustawy z 1919-go roku, równającej prawa płci. Mimo tej ustawy, kobiety dotychczas nie zasiadały w Izbie Lordów, choć z powodzeniem rządziły wielkim Imperium, zasiadając na tronie. (Z)

tak i nie

Wszystkiemu winna prasa

JAK wiadomo, Partia Pracy przegrała w ostatnich wyborach samorządowych, co według opinii prasy konserwatywnej, świadczyć ma o upadku wpływów Partii Pracy w społeczeństwie brytyjskim. Inaczej sądzi o tej sprawie „Daily Herald", organ labourzystów. Wszystkiemu winne są według jego opini, stosunki, panujące w prasie brytyjskiej. Prasa brytyjska — pisze „Daily Herald" — opanowana jest przez kilku magnatów prasowych, którzy kierują nią według własnej woli i upodobania. Jest rzeczą oczywistą, że panom tym nie odpowiada polityka socjalistów. Wobec tego prowadzą w swojej prasie kampanię, mającą na celu zdezorientowanie opinii publicznej i wytworzenie nastrojów przychylnych dla partii konserwatywnej.

Wysłuchujemy często niezmordowanych zapewnień o wolności prasy i słowa drukowanego w Wielkiej Brytanii. Wobec tego jednak, co pisze „Daily Herald" zapytaćby wypadało, jak przedstawia się istotnie ta wolność, skoro kilku panów ma ją w kieszeni i dziennikarze, czy chcą ,czy nie chcą, pisać muszą tak, jak ci panowie sobie tego życzą? (Z)

Bez bankietów

ORGANIZACJA Narodów Zjednoczonych debatowała przed kilku tygodniami nad swoim budżetem. W wyniku dyskusji skreślono 7.500 dolarów przewidzianych na opłacenie 15.000 coctaili z budżetu Rady Powierniczej. Delegat Polski dr Suchy pragnął zastosować naszą zasadę budżetową, tj. zakaz urządzania bankietów, ale jego wniosek o skreślenie dalszej kwoty 32.500 dolarów na przyjęcia nie uzyskał większości głosów. (p)

Ostrze na ostrze

TAJEMNICA CESARSKIEGO DWORU

Było to przed wielu, wielu laty. Syn Nieba, cesarz chiński, panował szczęśliwie nad milionami swych poddanych. Ponieważ pojęcie szczęścia jest względne, być może, iż inne były zapatrywania na tę kwestię cesarza — inne jego poddanych. Sprawy te należą już dziś do przeszłości — a zatem do historii i nie będą przedmiotem niniejszego felietonu. Dochowały się jednak z owych zamierzchłych czasów różne historyjki, którymi wstydziłby się zajmować poważny badacz przeszłych dziejów, a które, jako że arcyludzkie, a przez to zawsze aktualne, godne są opowiedzenia.

Wśród licznych swych skarbów, strzeżonych zazdrośnie — jak np. tajemnica wyrobu prochu, porcelany, papieru, hodowli herbaty, pieprzu itp.: — Syn Nieba jedyny na całym świecie posiadał nie byle jakie cudne dziwo: maleńkie pieski, o których krążyła pradawna legenda, iż są one skrzyżowaniem wiewiórki ze świętym kwiatem lotosu. Oddawano im głęboką cześć i były fetyszem cesarskiego dworu. I oto nagle — dwa z tych piesków przepadły. Szukano winowajcy. Być może jakiś podstępny cudzoziemiec, wysłannik z dalekich jakichś krajów, zabrał je ze sobą na pamiątkę. Gdy Syn Nieba martwił się ogromnie, biadając, iż wraz z pieskami szczęście może opuścić jego złociste komnaty, Wielki Doradca pocieszał go tymi słowy:

— Wielki i Niezrównany, Wszechpotężny Synu Nieba! Jeśli nawet ośmielił się jakiś niegodny człowiek zabrać nasze pieski ze sobą, bądź pewny, iż zginą one marnie. Nikt przecie nie potrafi zająć się ich hodowlą — nikt nie wie, co one zwykły jeść i jak się należy z nimi obchodzić. Tamte zginą i nasze pieski znów będą jedyne na świecie.

Cesarz przestał się martwić. Minęło znów wiele lat: Aż kiedyś pojechał jeden z wysłanników cesarskich w daleki świat. Gdy wrócił, by opowiedzieć swemu cesarzowi, co się dzieje na szerokim świecie, smutny był nad wyraz.

— O, Wielki i Niezrównany, Wszechpotężny Synu Nieba! Zjeździłem cały świat według Twego rozkazu. Nie ma prawie kraju na tym świecie, gdzie nie byłoby naszych cesarskich piesków. Zowią się pekińczykami...

Nie wiadomo, czy dlatego szczęście opuściło chińskich Synów Nieba. Wielki Nadworny Dozorca piesków twierdził do końca swego życia, że rozwiany czar maskotki był jedną z przyczyn opuszczenia tronu przez cesarzy. Dziś wielki chiński kraj, wstrząsany nieustannymi wojnami, szuka sam, bez cesarzy, swych nowych dróg.

*

Tak się dzieje z tajemnicami, które pilnie strzeżone, stają się przedmiotem kultu. Kiedy pryska tajemnica, rozwiewa się wiara we własną potęgę. Najgorzej zaś bywa wtedy, gdy ta wiara i ta tajemnica są podstawą całej polityki. Myślę w tej chwili o energii atomowej i jej nieudanym, zwyrodniałym dziecku — atomowej bombie.

Niektórzy politycy amerykańscy używali jej stale w charakterze swego dyplomatycznego doradcy. Na atomowej formule opierali chemiczne recepty swojej zagranicznej polityki. I oto nagle — ku ich niezmiernemu zaskoczeniu — okazało się, iż tajemnica dawno przestała być amerykańskim monopolem. Zapewne mieli minę chińskiego cesarza, który dowiedział się, że cały świat pełen jest piesków pekińskiej rasy...

Nie jest jednak sprawą najważniejszą to, nad czym zastanawiają się oni obecnie: czy Związek Radziecki może już produkować bombę, czy nie. Ważne jest, aby zrozumieli, że umysł ludzki, poruszony nowym odkryciem tajemnicy przyrody, zawsze i wszędzie dążyć będzie do praktycznego wykorzystania tej tajemnicy. Dlatego nie wolno z niej czynić śmiercionośnego straszaka. Taka licytacja zawsze skończyć się może tym, że zabraknie wreszcie na ziemi licytantów. Ważne jest, aby zrozumieli, na podstawie tej nauczki, iż jedynie rozbrojenie złej woli, woli panowania dla egoistycznych zysków, woli zniszczenia, dać może wielkim dziełom umysłu ludzkiego życiodajną i błogosławioną siłę.

Avis

Propaganda wojenna

OSTRE wystąpienie ministra Wyszyńskiego przeciwko podżegaczom wojennym nie było w smak niektórym dziennikarzom amerykańskim. Aby dobrze zrozumieć tło rozgrywającej się na terenie Stanów Zjednoczonych kampanii prasowej warto przypomnieć historyjkę z roku 1897, z okresu poprzedzającego bezpośrednio wybuch amerykańsko-hiszpańskiej wojny o Kubę.

Koncern Hearsta miał wówczas na Kubie jako korespondenta znanego rysownika Remingtona. Gdy ten na zapytanie redakcji odpowiedział, że na terenie Kuby nikt nie spodziewa się wojny, William Randolph Hearst odpowiedział: „Proszę dostarczyć ilustracje, ja dostarczę wojnę".

Na szczęście obecnie siły demokracji i pokoju mają więcej do powiedzenia niż w 1897 r. (p)

Grzeczność Japończyków

UPRZEJMOŚĆ Japończyków była ongi przysłowiowa, dopiero okrucieństwa wojenne zwróciły uwagę na inne cechy charakteru Prusaków Wschodu.

W jednym z niedawnych procesów japońskich zbrodniarzy wojennych miał miejsce następujący dialog, ilustrujący na czym polega grzeczność w wydaniu japońskim.

Oskarżycie: Czyż nie jest faktem, że oskarżony od zarania do końca swojej politycznej kariery sprzeciwiał się każdemu posunięciu cesarza zmierzającemu do utrzymania ładu i porządku?

Oskarżony markiz Kido (doradca mikada): Tak.

Prokurator: Jak należy to rozumieć?

Oskarżony: Tak, nie jest faktem. (p)

W gościnie u Franco

PRZED niedawnym czasem Europa została dosłownie zalana przez wycieczki parlamentarzystów amerykańskich. Nie było prawie kraju do którego by przedsiębiorczy i ciekawscy kongresmeni nie zawitali. Jeden tylko kraj mieli ominąć — Hiszpanię. Dziwnym trafem, jednak dziewięcio-osobowa grupa pod przewodnictwem deputowanego Judda tak u łożyła marszrutę, że zawadziła o Madryt, a trzech kongresmenów z przewodniczącym grupy złożyło nawet wizytę generałowi Franco.

Kara chłosty

PIĘTNASTU studentów w Chartumie ,którzy wzięli udział w manifestacji na cześć Związku Radzieckiego, Polski i Syrii, urządzonej na forum ONZ z okazji wystąpienia tych państw w obronie niepodległego Egiptu, zostało aresztowanych i skazanych na karę chłosty publicznej.

Wpływy angielskie są jeszcze dość silne.

Notabene kara chłosty jako legalny środek wymiaru sprawiedliwości ma być dopiero obecnie zniesiona w Wielkiej Brytanii. (p)

Roosevelt ze swastyką

PRZED niedawnym czasem odkryty został w Wiedniu portret prezydenta Roosevelta ze swastyką w klapie. Historia tego obrazu jest jednym z niewielu wesołych przyczynków do dziejów Gestapo. Twórca portretu, węgierski malarz de Ferraris po wybuchu wojny obawiał się, że podobizna prezydenta Roosevelta może mu przysporzyć wiele kłopotu. Ponieważ przewidywał, że Gestapo zainteresuje się jego osobą domalował wielkiemu prezydentowi swastykę w butonierce. Istotnie, gdy Gestapo przyszło doń, funkcjonariusze tajnej policji Himmlera uwierzyli, że portret przedstawia działacza niemieckiego w Stanach Zjednoczonych, który jest tam „czymś w rodzaju Gauleitera". (p)

Fałszywy testament Goeringa

WOJSKOWE wywiady wszystkich czterech mocarstw poszukują obecnie drukarni, w której wykonano ulotki zawierające rzekomy testament Goeringa. W ulotce tej Niemcy są wzywani do wytrwania w wierze do wskrzeszenia ideologii narodowo-socjalistycznej. Tym, którzy nie spełnią tego przykazania ulotka grozi sztraszliwą rzezią, gdy wybije godzina czwartej Rzeszy. (p)

Marek Sadzewicz

W PRZEDDZIEŃ SEJMU SPÓŁDZIELCZEGO

W dniach 24 i 25 listopada 1947 r. odbędzie się Główny Zjazd Delegatów „Społem“ — jako najwyższej instancji samorządowej Związku Gospodarczego Spółdzielni R. P.

W życiu potężnego ruchu spółdzielczego jest to moment historyczny, wręcz przełomowy. Po raz pierwszy od czasu ustania działań wojennych i ustalenia się władz Rzeczypospolitej Demokratycznej znajdzie swój wyraz wola samorządu spółdzielczego na najwyższym szczeblu.

Samorząd, to najbardziej istotna i zasadnicza treść spółdzielczości. Bez samorządu spółdzielczość w ogóle nie istnieje, bez samorządu staje się ona bezdusznym aparatem biurokratyczno - wykonawczym, nie mającym nic wspólnego z wolą społeczną, która właśnie ma tworzyć spółdzielczość i nią kierować.

Mający nastąpić wkrótce Zjazd jest drugim z kolei w Odrodzonej Polsce. Pierwszy historyczny Kongres Lubelski odbył się w czasie toczącej się jeszcze na ziemiach zachodnich wojny. Był to wtedy jeden z pierwszych doniosłych aktów społecznych, dokonanych po Wyzwoleniu i świadczył o sile oraz żywotności idei spółdzielczej w społeczeństwie polskim. Kongres ten wytyczył jej kierunki rozwojowe, postanawiając **jedność ruchu spółdzielczego.**

Należałoby postawić pytanie dlaczego następny Kongres odbywa się tak późno, bo dopiero na jesieni 1947 roku. Opóźnienie to wynika z zasad prawa spółdzielczego, działających w specyficznych warunkach powojennych. Prawa członkowskie w spółdzielczości obwarowane są przepisami, dotyczącymi między innymi — prowadzenia dokładnego i zgodnego z istotnym stanem rzeczy — rejestru członków. Można sobie wyobrazić, jak te rejestry wyglądały w okresie wielkiej wędrówki ludności, kiedy około 1/3 mieszkańców Polski zmieniło swoje miejsce stałego pobytu. Olbrzymia migracja, nie mająca dla siebie precedensu w żadnym historycznym okresie istnienia Państwa Polskiego nie ustała prędko po zakończeniu działań wojennych, wobec dalszego przesuwania się ludności w związku z repatriacją i zasiedlaniem Ziem Odzyskanych. Nic dziwnego, że i stan członkostwa poszczególnych spółdzielni uległ w tych warunkach gruntownej zmianie, że dotychczasowe rejestry nie odpowiadały w ogóle istotnemu stanowi rzeczy. Trzeba je było sporządzić na nowo. Nie bez znaczenia była również i ta okoliczność, iż zakres działania i rozmiary organizacji spółdzielczej zmieniły się bardzo w porównaniu ze stanem przedwojennym. Zasady samorządu spółdzielczego dobre w latach przedwojennych, kiedy spółdzielczość była stosunkowo niewielkim ruchem musiały ulec zmianie dla tak wielkiej machiny, jaka powstała w odrodzonej ludowej Polsce. Dość powiedzieć, że do Związku Gospodarczego „Społem“ należy — według rejestrów zatwierdzonych dla wyborów — 7.000 spółdzielni. Nie jest to jeszcze pełna liczba, bowiem prócz tego koło 2.000 spółdzielni, należących w zasadzie do „Społem“, nie zdążyło na czas uporządkować swoich rejestrów. Zanim można było zwołać Główny Zjazd Delegatów, trzeba było przed tym odbudować samorząd na szczeblu powiatowym i wojewódzkim, co wymagało wielkiego wkładu organizacyjnego, ale i przyczyniło się do spotęgowania aktywu spółdzielczego w całej Polsce.

Jak już powiedzieliśmy na wstępie, obecny Główny Zjazd Delegatów posiada dla ruchu spółdzielczego znaczenie historyczne. Odbywa się po raz pierwszy w Polsce całkowicie już wyzwolonej i co więcej w warunkach ustabilizowania się na Ziemiach Rzeczypospolitej władzy Rządu Ludowego i nowej struktury społecznej, gospodarczej oraz politycznej.

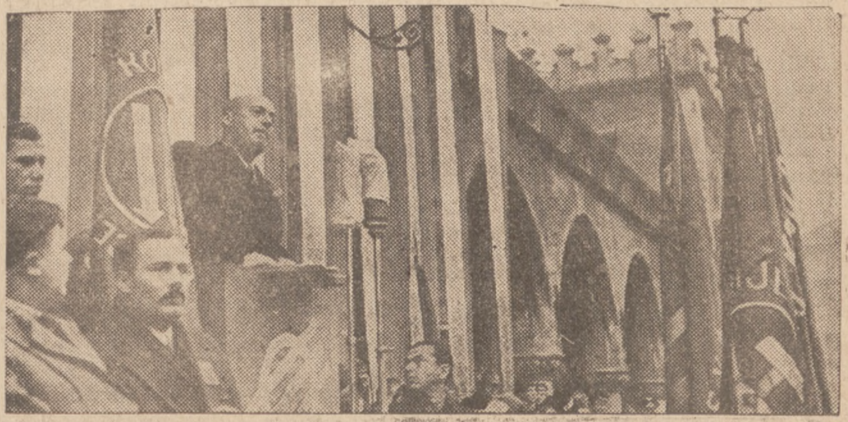
W rezultacie postanowień Kongresu Lubelskiego i stanowiska zajętego przez P. K. W. N., działające dotychczas władze spółdzielcze mogły rozbudować potężny aparat gospodarczy, którego działanie zaważyło na sytuacji ogólnej. Był to 3-letni okres doświadczeń, z których władze wykonawcze spółdzielczości złożą sprawozdanie wobec samorządu, a więc czynnika mającego stać się odtąd ich właściwym mocodawcą. Na podstawie tych doświadczeń wypracowane będą **tezy reorganizacji struktury spółdzielczości.** Jaka ma być ta nowa organizacja, o tym postanowi Zjazd Delegatów. Obecnie prowadzone są rozmowy i konferencje, przygotowujące postanowienia w tym kierunku. Zmiana struktury ma doprowadzić do lepszego dostosowania organizacji spółdzielczej do modelu gospodarczego Polski, oraz tych zadań, jakie nakłada na spółdzielczość społeczeństwo i Państwo Demokratyczne.

Nie tylko spółdzielcy, ale i wszystkie czynniki gospodarcze oraz polityczne oczekują z wielkim zainteresowaniem na moment rozpoczęcia obrad Głównego Zjazdu Delegatów „Społem“.

Film TYGODNIA



Akademia w Romie z okazji 30-lecia Rewolucji Październikowej. Uroczystość zaszczycili swoją obecnością: Prezydent R. P. Bierut, Marszałek Sejmu Kowalski, Premier Cyrankiewicz, Marszałek Żymierski i inni.



Premier Cyrankiewicz przemawia na rynku krakowskim z okazji odsłonięcia pomnika I. Daszyńskiego.



Artyleria sowiecka w dniu Święta 30-lecia Rewolucji Październikowej w Moskwie.



„Orbis“ uruchomił dwa wagony restauracyjne na linii Warszawa—Zebrzydowice (Orient — Express do Paryża). Na zdjęciu: kucharz Mnich w kuchni.

Fot. Film Polski

JEDNA SZAFA NA CZTERNAŚCIE OSÓB

CZYLI BLASKI I CIENIE ŻYCIA STUDENTA



W BURSIE S. G. G. W.
Piękne gracje, przyszłe rolniczki wyrwane z objęć Morfeusza przez niedyskretnego fotografa.

W sekretariacie Komitetu Koordynacyjnego Polskich Organizacji Studenckich panuje ożywiony ruch i gwar.

— Jak pan widzi pracujemy całą parą — mówi do mnie kierownik sekretariatu Oddziału Warszawskiego kolega Pastuszko. Mamy obecnie specjalnie dużo pracy w związku z organizowaniem „Tygodnia Studenta" pomiędzy 16 a 23 listopada.

Sekretariat zatłoczony jest bracią studencką. Stale ktoś o coś się informuje, brzęczą telefony.

— Jak powstał Komitet Koordynacyjny? — pytam.

— Jak panu zapewne wiadomo w sierpniu 1946 roku odbył się Światowy Kongres Studentów w Pradze. Otóż w związku z Kongresem zaistniała konieczność reprezentowania ogółu studentów, co spowodowało w lutym br. powstanie Komitetu Koordynacyjnego Polskich Organizacji Studenckich. W skład tego Komitetu weszły: Bratnie Pomoce, Zw. Niezależnej M. Socjalistycznej, Akad. Zw. Walki Młodych „Życie", Ogólnopolski Kom. Studiującej Ml. Wiejskiej „Wici", Sekcja Akad. Zw. Młodz. Demokratycznej, Akad. Zw. Sportowy, Sekcja Ak. Zw. Byłych Więźniów Politycznych itp. Delegatem naszym w Międzynarodowym Związku Studentów jest kol. Zenon Wróblewski, który został wybrany na członka Komitetu Wykonawczego M. Z. S.

— Jaki jest zakres prac Komitetu?

— Zadania Komitetu Koordynacyjnego wynikają z realizacji założeń M. Z. S. i z grubsza można je przedstawić w następujących punktach, a więc: Walka o pełną demokratyzację życia akademickiego, zapewnienie jak najszerzej pojętej pomocy materialnej dla niezamożnej młodzieży, nawiązanie jak najściślejszej współpracy z demokratyczną młodzieżą akademicką innych krajów przez organizowanie wymiany studentów, wycieczek zagranicznych, wymiany prasy, korespondencji itp. Poza tym specjalny nacisk kładziemy na podniesienie poziomu naukowego studentów, oraz zapewnienie należytego rozwoju fizycznego i krzewienia sportu wśród młodzieży akademickiej.

— Jakie efekty pracy udało się panom uzyskać dotąd? — zapytuję.

— Stosunkowo dość duże — pada odpowiedź. — Dla realizacji naszych zadań powołano do życia 5 biur przy prezydium Komitetu Koordynacyjnego, a mianowicie: pomocy, wymiany i podróży, współpracy intelektualnej, prasy i informacji oraz biuro sportowe. Organami podległymi i ściśle związanymi z życiem uczelni są Oddziały Komitetu działające w poszczególnych ośrodkach akademickich. Oddziałów tych jest 11. Tak wygląda mniej więcej nasz szkielet organizacyjny. Możemy już pochwalić się całym szeregiem dodatnich rezultatów otrzymanych w stosunkowo krótkim czasie — mówi kol. Pastuszko. — Dzięki działalności Komitetu nawiązano szereg kontaktów z zagranicą w dziedzinie wymiany prasy i informacji o życiu studentów innych krajów, urządzono szereg odczytów, przygotowano Wystawę Studencką na Festiwal Młodzieżowy w Pradze, a przede wszystkim zorganizowano na szerszą skalę wymianę studentów. W sumie wysłaliśmy za granicę 200 studentów, a więc do: Czechosłowacji 101, Jugosławii 29, Danii 54 i Szwecji 16. Przyjęliśmy w tym czasie 209 — z Czechosłowacji, Jugosławii, Francji i Anglii. Wszyscy ci studenci pozostawali pod opieką Komitetu. Niezależnie od tego opiekowaliśmy się wieloma studentami zagranicznymi, którzy przyjechali do Polski z oficjalnymi wizytami bądź na zaproszenie organizacji nieakademickich. W ten sposób odwiedziło Polskę kilkudziesięciu Rumunów, Szwedów, Finów, Włochów, Bułgarów i Węgrów, którym Komitet ułatwił uzyskanie noclegów w domach akademickich, posiłków w stołówkach, ulgowych biletów kolejowych itp.

— Jakie są największe bolączki akademika w Polsce? — ryzykuję następne pytanie.

Kolega Pastuszko rozkłada ręce:

— O, mamy ich dużo, ale najlepiej o tym poinformują pana sami koledzy.

Po chwili idę korytarzem domu akademickiego przy ul. Narutowicza. Wchodzimy do jednej z izb. Pokój jest dość duży i posiada około 72 m kw. powierzchni. Niestety stoi w nim aż 14 łóżek. W chwili, kiedy wchodzimy przy stole uczy się grupka studentów.

— Jesteśmy w „czyśćcu" — objaśnia mnie sekretarz oddziału. — Popularnie nazywamy tak te sale, które są najbardziej zatłoczone. Koledzy, którzy tu mieszkają, są przeważnie na kursach wstępnych. Po przyjęciu na uczelnię otrzymują przydziały do pokoi 2 lub 3 i 4-osobowych.

— Jak panom się tu mieszka? — zwracam się do jednego akademika.

— Na ogół dość dobrze — pada odpowiedź. — Mamy ciepło i widno. Specjalnie nie narzekamy.

— Żeby tylko zdać egzamin — dorzuca ktoś.

W pokoju stoi dość duża, ale tylko jedna szafa.

— Jak panowie mieszczą swoje ubrania?

— Ano, jakoś dajemy sobie radę. Szafa jest co prawda jedna na 14 osób, ale nie posiadamy zbyt dużo garderoby — rzuca ktoś rezolutnie...

— A jak z posiłkami? — pytam ponownie.

— Otóż to — wtrąca kol. Pastuszko. — Koledzy narzekają, że posiłki są dość drogie jak na kieszeń studenta i stosunkowo marnej jakości. Stołówka wydaje tylko śniadania i kolacje. Cena waha się około 50 zł dziennie. Obiady jadamy w stołówkach Bratnich Pomocy. Są to wydatki jednak dość poważne jak na nasze możliwości.

— Dużo jednak studentów pracuje — odpowiadam — tym chyba powodzi się nienajgorzej?

— Niestety — w tej szczęśliwej sytuacji znajduje się zaledwie około 30 proc. młodzieży. Reszta korzysta z pomocy stypendiów lub tego, co otrzyma z domu. Wysokość stypendiów jest jednak stosunkowo niska, np. stypendium T.P.M.S.W. (Towarzystwa Przyjaciół Młodzieży Szkół Wyższych) wynosi około 3.000 zł, a Ministerstwa Oświaty około 1.500 zł miesięcznie. Tymczasem opłata za mieszkanie w „Akademiku" wynosi 400 zł od osoby. Jednak staramy się nie narzekać. Nasza sytuacja powojenna i warunki gospodarcze nie pozwalają na to, by olbrzymia większość studentów mogła otrzymać stypendia, bezpłatne pomoce naukowe, wygodne pomieszczenia w bursach, dobrze uposażone laboratoria i troskliwą opiekę lekarską. Jednak musimy sobie uprzytomnić, że stypendia państwowe w roku 1937—38 stanowiły zaledwie 6,5 proc. budżetu szkół wyższych w Ministerstwie Oświaty, dziś zaś, pomoc dla młodzieży akademickiej wynosi 7,9 proc., nie licząc funduszów płynących z innych resortów państwowych i akcji społecznych — mówi kol. Pastuszko.

— Na terenie stolicy studenci mieszkają w domu akademickim, który w tej chwili mieści 1.690 studentów. Poza tym w bursach przy uczelniach i domach akademickich: przy ul. Polnej i Górnośląskiej.

— Słyszałem, że prześladuje was na terenie domu akademickiego seria metodycznych kradzieży. Może przydałby się jakiś domorosły Sherlock Holmes — rzucam żartobliwie.

— Tak w związku z tym mieszkamy jak w klasztorze — śmieją się studenci. — Zarząd domu wprowadził ścisłą kontrolę odwiedzających i w zasadzie nie wolno nam przyjmować gości.

— Wiem coś o tym — mówię, przypominając sobie swoją rozmowę w portierni.

— No, a jak ze skryptami? — pytam jeszcze.

— Och, z tym również mamy duże trudności. Powoduje je brak papieru i wysokie ceny podręczników. W praktyce odbywa się to w ten sposób, że łączymy się w grupy i uczymy wspólnie.

— Czy macie jakąś opiekę lekarską — pytam na zakończenie.

— Tak. Opiekuje się nami Pomoc Lekarska Młodzieży Akademickiej zwana popularnie „Palmą".

Życząc owocnej pracy żegnam moich miłych rozmówców.

Na korytarzu spotykamy inżyniera Skwarcza, który jest administratorem gmachu z ramienia Fundacji. Jest w tej chwili oblegany przez grupę studentów, którzy załatwiają jakieś sprawy przydziałowe.

— Tak jest stale — mówi do mnie — Józio chce mieszkać z Jasiem, a Wacio z Franiem... Robimy przenosiny i zamiany. Staramy się iść na rękę, ale nie zawsze się nam to udaje. Tłok jest duży a miejsc mało. Żeby jeszcze tych „dzikich" nam zabrali...

— Co za dzikich? — pytam zaciekawiony.

— „Dzikimi" nazywamy te osoby, które otrzymaliśmy w spadku po Centralnym Zarządzie Motoryzacji. Mieszka ich tu jeszcze około 10 osób, których nie możemy się pozbyć.



Nawet i w czasie odbudowy ukochanych murów Politechniki, znajdzie się czas na zajrzenie do skryptów studenckich.

— A jak tam z innymi kłopotami? — indaguję.

— Któż z nas ich nie ma — pada filozoficzna odpowiedź. Instalacje są stare, toteż często „nawala" nam światło. Psują się urządzenia kanalizacyjne itd. Marzymy wszyscy o basenie kąpielowym. Basen znajduje się pod zarządem A.Z.S-u i obiecali, że od 12 listopada go otworzą. Na razie z wannami jest „słabo". W lecie czynne były natryski z zimną wodą. Obecnie przydałyby się gorące wanny, ale dużo jeszcze trudności jest do pokonania przed ich uruchomieniem. Na naszym terenie znajduje się też sklep spółdzielczy „Akademik", członkiem jego może być, bez względu na uczelnię, każdy student. Jest to jedna z bardzo pożytecznych placówek w naszym życiu. Żegnamy sympatycznego inżyniera, by wpaść jeszcze na chwilę z wizytą do zagranicznych gości. Jednym z nich jest p. Henry Helson z Filadelfii, stypendysta uniwersytetu w Harvard. Młody Amerykanin studiuje matematykę na U. W.

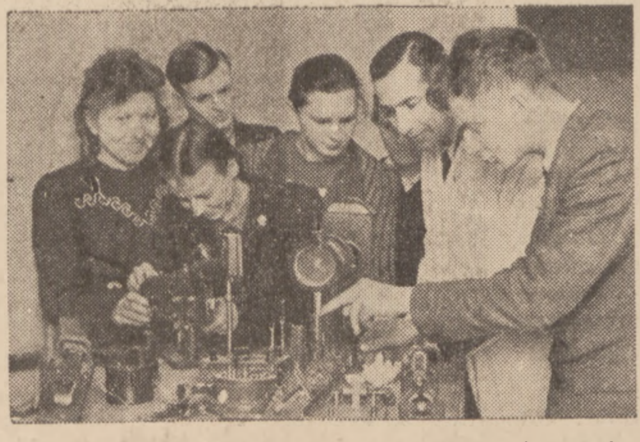
Zarzucam go pytaniami o wrażenia, jakich doznał mieszkając w „Akademiku". Odpowiada obszernie, że jest bardzo zadowolony.

Jugosłowianie, u których z kolei jesteśmy, są jeszcze zupełnie nie zorientowani. Przybyli dopiero trzy dni temu i są przejazdem w Warszawie. Udają się do Gdańska, gdzie zamierzają studiować na Wydziale Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej. Są to stypendyści rządu polskiego.

Do wyjścia odprowadza mnie mój informator i przewodnik po „Akademiku" kol. Pastuszko.

— Niech pan napisze — mówi do mnie — że liczymy na wydatny udział społeczeństwa w ramach naszego „Tygodnia Studenta" pomiędzy 16 a 23 listopada. Wierzę, że społeczeństwo nasze, które zawsze żywo interesowało się młodzieżą tej pomocy i teraz nam nie odmówi.

STEFAN BAŁUK



W skupieniu i z uwagą nasi przyszli uczeni pracują w laboratorium Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu.



Młodzi architekci przy pracy.

ROZMOWA Z PISARZAMI JUGOSŁOWIAŃSKIMI

Powiedz mi, co sądzisz o Warszawie, powiem ci kim jesteś — pod tym tytułem można byłoby zestawić interesującą i wielce pouczającą ankietę dla licznych cudzoziemców, odwiedzających naszą Stolicę. Pomyślałam sobie o tym, rozmawiając z pisarzami i malarzami jugosłowiańskimi w przeddzień ich odjazdu z Warszawy po miesięcznym pobycie w Polsce.

Taki bowiem utarł się zwyczaj, że każdy gość przybywający do Polski ogląda przede wszystkim Warszawę i nikt nie ośmieli się wyjeżdżając nie złożyć mniej lub więcej oficjalnego oświadczenia, co sądzi o jej zniszczeniu i odbudowie. Z pozoru jednobrzmiące, wypowiedzi te są jednak niezmiernie charakterystyczne dla stosunku poszczególnych przedstawicieli poszczególnych narodowości, do naszych polskich spraw.

O ile zauważyłam, Amerykanie np. na ogół pasjonują się rzec by można nieco abstrakcyjnie i technicznie ogromem zniszczenia. Tych czcicieli wszystkiego, co jest wielkie w rozmiarach, wprawia w bezbrzeżny podziw „tyle gruzów, tyle ruin — i jak to oni (Niemcy) zrobili?“ Trzeźwych Anglików uderza oczywiście w ich mniemaniu absurdalny pomysł pozostawienia Stolicy w tak zniszczonym mieście. No i — „gdzie ci wszyscy ludzie się mieszczą?“ Francuzi wykazują najwięcej zainteresowania dla tempa życia, ruchu, „tyle sklepów, restauracji i teatrów“ i... tyle do jedzenia...

I otóż — pogrymasiwszy trochę na cudzoziemców — dochodzimy do wniosku: tylko ci, co równie głęboko i równie tragicznie jak my przeżyli wojnę i niemiecką okupację, potrafili zrozumieć tragedię, chwałę i odrodzenie walczących miast, potrafią — choć w innym języku — mówić o Warszawie naszymi słowami. Mówić tak, jak my mówimy. Przeżyli bowiem to, co myśmy przeżyli i czują dlatego to samo, co my czujemy. Nie jest dla nich Warszawa ani sensacyjnym widowiskiem, ani przedmiotem ekonomicznych spekulacji — jest miastem walczącego człowieka.

Tak właśnie mówią o Warszawie Jugosłowianie.

Kiedy pytam Desankę Maksimowicz, najwybitniejszą serbską poetkę, chorwackiego prozaika Wiekosława Kaleba, czy młodego słoweńskiego malarza Klemenczicza o wrażenia z pobytu w Polsce, pierwsze słowo, jakie pada w odpowiedzi jest: Warszawa. Z całą szczerością wzruszenia, z całą głębią zrozumienia.

— My wiemy, jak potrafią Niemcy burzyć miasta. Ile my mamy takich zburzonych miast u nas w Jugosławii! — mówi Kaleb. Przypominam sobie: Bośnia, Hercegowina, ośrodek zwycięskich walk partyzanckich, wspaniale barwny krajobraz — biel skał, zieleń lasów i górskich rzek, lazur nieba, czerwień żyznej ziemi — i wśród tego tragicznie nieme, głuche, do fundamentów wypalone i zburzone jedno po drugim miasto, jedno po drugim miasteczko, jedna po drugiej wieś.

Kaleb ma spokojne, jasne oczy i tak wzruszająco pogodny uśmiech, że uwierzyć trudno, iż ten cichy człowiek całą wojnę spędził w partyzanckich szeregach. A może właśnie z tych przeżyć płynie ta jego zadziwiająca równowaga i pogoda? Sam o tym opowiada —

— Wielu spośród nas, pisarzy, walczyło w czasie wojny w partyzantce. Wojna jako temat? Tak, jest ona dla nas wciąż jeszcze nieustającym przedmiotem zainteresowania. Oczywiście z punktu widzenia przeżyć człowieka. Chodzi też o to, by entuzjazm, bohaterstwo, wyzwolone w człowieku walczącym o swoją wielką, słuszną sprawę, po osiągnięciu zwycięstwa znalazły swój konsekwentny odpowiednik w bohaterstwie pracy dla pokoju. A praca ta jest wielka. Utrwalenie naszego nowego, sprawiedliwego ładu społecznego, wyrównanie tych wszystkich różnic rozwoju kulturalnego naszych narodów, które są grzechem dawnych, reakcyjnych sfer rządzących...

— Warszawa, Oświęcim, — są to także momenty, które najmocniej przeżył w Polsce młody malarz Klemenczicz. — A jednak zwyciężył człowiek, cześć i godność ludzka, które Niemcy chcieli zdeptać, unicestwić. Cała Jugosławia zna słowo „Oświęcim“. Zginęły tam tysiące patriotów Jugosłowiańskich. Słowenia, mały naród na północy Jugosławii, który nie wie, co to jest analfabetyzm, w którym każdy chłop był posiadaczem biblioteki, poniósł wielkie i bolesne straty.

— Były u nas tereny — opowiada Klemenczicz, który również całą wojnę spędził w partyzantce — gdzie Niemcy nie mogli dotrzeć mimo krwawych walk. W górach Czernomlje mieścił się nasz sztab i okolice były w naszym ręku. Wiemy, co znaczą publiczne egzekucje, takie jak na ulicach Warszawy... Wiemy jak wróg mordował ludność cywilną. Ale teraz nasz i wasz kraj to symbol nie tylko zwycięstwa nad Niemcami. To nowy lepszy świat i nowy, lepszy człowiek.

Pytam o malarstwo Jugosłowiańskie.

— Mamy dużo nowych talentów. Ogromny pęd do nauki, sztuki. Tym większy, że otwarte są możliwości nauki i pracy szerokim rzeszom zdolnej młodzieży. Mamy trzy doskonałe Akademie Sztuk Pięknych i wiele szkół wyższych w większych miastach w całym kraju. Poczucie piękna, jak wskazuje na to sztuka ludowa, jest wysoko rozwinięte wśród naszych rodaków. Kierunki w naszym powojennym malarstwie? Raczej realizm — nie prymitywny naturalizm, ale i nie to, co reprezentuje obecna sztuka francuska z Picasso na czele. Tematyka? W dużej mierze jeszcze wspomnienia wojenne. Ale także odbudowa. A także zwykła malarska rzecz: portrety, martwa natura, krajobraz.

(Dokończenie na str. 7)

DLACZEGO NAŁKOWSKA JEST WIELKĄ POWIEŚCIOPISARKĄ? A MOŻE PASTERNAK ZOSTANIE POWIEŚCIOPISARZEM?

Mieszkam w Łodzi, w domu literatów, gdzie — na pierwszych i na drugich piętrach — skupiły się najtęższe pióra. Ja zajmuję dwa pokoiki na parterze. Jeden, połączony z kuchnią, wychodzi na ulicę i stanowi „gynaeceum“, tj. kobiecą część mieszkania, gdzie rządzi moja żona z córką; drugi, z oknem na podwórze, jest moją „pracownią“. Nasze podwórze przypomina potrochu zwierzyniec: wielu z nas, literatów, ma psy; ale ozdobą podwórza są wspaniałe koty sjamskie Nałkowskiej i Leona Pasternaka; Nałkowska ma ich kilka, Pasternak — prześliczną parkę, kawowej maści, o czarnych uszkach i z czarnymi ogonkami. Koty wychodzą kilka razy dziennie na spacer, i wówczas z mego okna mogę podziwiać ich igraszki.

Oto jest introdukcja do niniejszego felietonu. Co do Nałkowskiej, muszę powiedzieć, że jestem czcicielem jej talentu. Nie wszystkie jej książki uważam za doskonałe, ale parę powieści przede wszystkim „Granicę“, zaliczam do arcydzieł. Głowiłem się nieraz nad tym, w jaki sposób Nałkowska stała się wielką powieściopisarką, jak się dokonała w niej ewolucja od naiwnej „Koteczki czyli białych tulipanów“ do wyżyn „Granicy“ Umysłowość moja jest mędrkująca: nie zadowala mię stwierdzenie faktu, lecz muszę dojść jego przyczyn; podobny bywam do owego metafizyka z bajki, który, wpadłszy do jamy, zamiast powiedzieć sobie: wpadłem i muszę się jak najprędzej stąd wydostać — zaczął filozofować: a dlaczego wpadłem? a jakie tego były przyczyny? jaka siła mnie tu wciągnęła? Czytałem niedawno w „Odrodzeniu“ wywiad z ambasadorem Putramentem na temat dzisiejszej literatury polskiej. Putrament stwierdza w nim fakty: Iwaszkiewicz, powiada, pisze lepiej niż przed wojną, Nałkowska dała niezłe „Medaliony“, Miłosz wyrabia się, Rudnicki i Breza rozwinęli się wyraźnie... Jabym tak nie umiał. Jabym musiał zaraz pytać: dlaczego, dlaczego? Dlaczego Putrament mówi same banały? Dlaczego klepie po ramieniu swych starszych kolegów po piórze? A może mu ambasadorstwo uderzyło do głowy? Dlaczego mu uderzyło? I tak w kółko: dlaczego?

Wracając do Nałkowskiej, gdym odczytywał teraz nowe wydanie „Granicy“ i „Domu nad łąkami“, ów problem: dlaczego Nałkowska jest wielką powieściopisarką — napastował mię tak, że zacząłem się lękać, czy nie popadnę w natręctwo myśli, w opętanie. Po prostu obsesja, podsycana ustawicznie widokiem kotów na podwórzu: ile razy urocza pani Pasternakowa wyprowadzi swe pociechy, a za nią podąża ze sjamczykami panna Genia od pani Nałkowskiej, następuje w mej duszy chorobliwe już skojarzenie: dlaczego Nałkowska jest wielką powieściopisarką? Bo talent, to jeszcze nie wszystko... Putrament też ma talent...

Takie stany mogą być męczące. Piszę na przykład felieton i nagle słyszę na podwórzu: kici, kici, kici... Wątek felietonu ucieka, a zamiast niego szturmuje znowu wyobraźnię namolne pytanie: dlaczego Nałkowska jest wielką powieściopisarką? Wstaję od biurka, chodzę po pokoju, myślę. Jedynym lekarstwem na uprzykrzoność myśli jest otworzyć jakąś poczciwą książkę dobrze znaną, np. „Quo vadis“ albo „Trzech muszkieterów“, otworzyć ją byle gdzie, na pierwszej wizycie Chilona u Winicjusza, na pierwszym pocałunku, jaki d'Artagnan złożył na wargach pani Bonacieux... To przywraca równowagę.

Wczoraj siedzę nad nowym zeszytem „Przeglądu Filozoficznego“, zagłębiony w artykuł prof. Narcyza Łubnickiego pt. „Zagadnienia teoriopoznawcze materializmu dialektycznego“, i słyszę, jak na podwórzu wnuczek dozorcy woła: Janek! Litka! (Tak się nazywają koty pana Leona). A we mnie natychmiast: dlaczego Nałkowska jest wielką powieściopisarką? I już odruchowo, jak doświadczalny pies prof. Pawłowa, sięgam na półkę, gdzie stoją rzędem moje poczciwe książki. Ale wzrok mój pada przypadkiem niżej i widzę pod nimi trzech ironistów angielskch: Chestertona, Russella i Aldousa Huxley'a „Muzykę nocy“. Jakże dawno nie miałem w ręku Huxley'a — myślę — takie doskonałe felietony! Trzeba się na nich troszkę poćwiczyć. — Kładę się nawznak na tapczanie (tylko w ten sposób człowiek odpoczywa), otwieram „Muzykę nocy“ na spisie rzeczy, żeby coś sobie wybrać, i pierwsze, co uderza mię jak obuchem, to felieton pt. „Kocie nauki“. O mało się nie zerwałem, ale jakaś siła wyższa przykuła mię do tapczanu. Może to było przeznaczenie? W felietonie Huxley'a znalazłem rozwiązanie dręczącego mię pytania, dlaczego Nałkowska jest wielką powieściopisarką? Błogosławię tę chwilę, błogosławię koty sjamskie i moje okno, wychodzące na podwórze.

Felieton Huxley'a jest zbyt obszerny i zbyt psychologiczny, żebym mógł go łapu-capu streścić. Będę się starał uchwycić jego istotę, przekonany, że każdy literat, jeśli przeczyta ten mój felieton, a nie zna Huxley'a natychmiast spod ziemi go wydobędzie.

Huxley opowiada, że wiele lat temu, gdy był początkującym pisarzem, ubawił się raz serdecznie, gdy mu pewien znakomity pisarz wyznał, że chce napisać powieść z życia Londynu i wobec tego jedzie do Afryki szukać tematu wśród Murzynów. Co za nonsens! „Śmiałem się wówczas — pisze Huxley — ale potem zrozumiałem, że miał wielką słuszność. Ludy pierwotne, tak samo jak dzieci i zwierzęta, to po prostu ludzie cywilizowani, ale **bez przykrywy**, ciężkiej i obłudnej przykrywy manier, konwenansów, nawyków, myśli i uczuć, pod którą każdy z nas pędzi swój żywot“. Niełatwo „przykrywę“ tę zdjąć, żeby zobaczyć, co się pod nią dzieje. Ów znakomity pisarz uznał, że zamiast męczyć się zdejmowaniem przykrywy w Londynie, prościej będzie obejrzeć Murzynów bez przykrywy w Afryce, a potem przenieść ich w książce pod przykrywę europejską. Powstała kapitalna powieść, o której krytyka pisała, że wzniosła się na szczyty psychologizmu. Nie każdy jednak powieściopisarz może jeździć do Afryki. Można sobie założyć — powiada Huxley, takie laboratorium w domu: stworzy je parka kotów sjamskich, ale parka ogoniasta, albowiem u kotów „ogon jest narzędziem ekspresji uczuciowej“. Dlaczego kotów i dlaczego sjamskich? Dlatego, że, jak wynika z obserwacyj uczonych i z wieloletnich doświadczeń samego Huxley'a, koty w ogóle, a koty sjamskie w szczególności, są „najbardziej ludzkie“: są to cywiliwani ludzie bez przykrywy.

Tutaj musiałbym streścić felieton Huxley'a, poświęcony opisowi obyczajów i życia kotów sjamskich, opisowi, który dowodnie pokazuje, że parka kotów w pracowni pisarza — to żywa i niewyczerpana szkoła pisarstwa, opartego na studiach nad rzeczywistością. Tylko dzięki swym kotom sjamskim Huxley napisał tak świetne powieści, jak „Ostrze na ostrze“ i „Nowy wspaniały świat“. Zrozumiałem wszystko. Kiedy Nałkowska pisała swoją „Koteczkę“, nie trzymała jeszcze kotów. Od piętnastu lat, gdy hoduje całe ich pokolenia, jej talent powieściopisarski — jakby orzekł Putrament, rozwija się wyraźnie. Pasternak urządził swe kocie laboratorium niedawno: ręczę, że za rok da nam pyszną powieść z rzeczywistości bez przykrywy. Przychodzi mi nawet zuchwała myśl do głowy, czyby Ministerstwo Kultury nie powinno otworzyć jakiejś Państwowej Hodowli Kotów Sjamskich (PHKS) i przydzielać po parze kotów literatom. Nie byłoby tych utyskiwań na upadek literatury polskiej, jakie słyszeliśmy ostatnio od Kotta (nomen omen) i Żółkiewskiego. Ale koty muszą być ogoniaste, bo ogon — to sedno, to rdzeń, to potęga.

Jerzy Wyszomirski

Józef Bartosik

ZWYCIĘSTWO kwestią CZASU

Wysadzenie wojsk sprzymierzonych na plażach Normandii stanowiło ukoronowanie działań wojennych na morzu, a zarazem ostatnią wielką operację floty. To, co potem nastąpiło, było już tylko stopniowym likwidowaniem przeciwnika, niemal przedmiotem rutyny.

Nie znaczy to jednak, aby okręty poszły na odpoczynek. Przeciwnie, dla wielu z nich rozpoczął się obecnie jeden z najpracowitszych okresów. Walący się kolos niemieckiego imperium wymagał czujnej straży. W pierwszym rzędzie chodziło o sparaliżowanie nieprzyjacielskiego transportu wodnego. Rozciągnięty na wiele tysięcy kilometrów front wojenny, sięgający od północnej Norwegii aż do Pirenei, nie mógł się długo utrzymać bez należytych dostaw. Dlatego też noc po nocy, dziesiątki sojuszniczych okrętów wciskały się do niezliczonych zatok i fiordów, blokując porty i niszcząc w ich promieniu wszelki ślad żeglugi. Nasilenie podwoiło się w miarę ewakuacji Niemców z Cherbourga, z wysp Kanału, z Norwegii, wreszcie z baz atlantyckich. Pierzchający w tym czasie nieprzyjaciel, nie przebierał w środkach lokomocji. Brał wszystko, co wpadło mu pod rękę: — okręty podwodne, motorówki, żaglowe łodzie rybackie, nawet statki szpitalne.

W takich okolicznościach nastąpił decydujący moment: — posuwające się z południa wzdłuż doliny Rodanu wojska sprzymierzonych, spotkały się z armiami z Normandii, odcinając połowę Francji. Około czterysta tysięcy wojska niemieckiego, straciło w ten sposób łączność z Rzeszą. Przez długie jeszcze miesiące, nieprzyjaciel trzymał bazy morskie w Lorient, Brest, La Rochelle, Nantes, Bordeau. Pozostawiono je własnemu jednak losowi, skazując na stopniowe obumarcie.

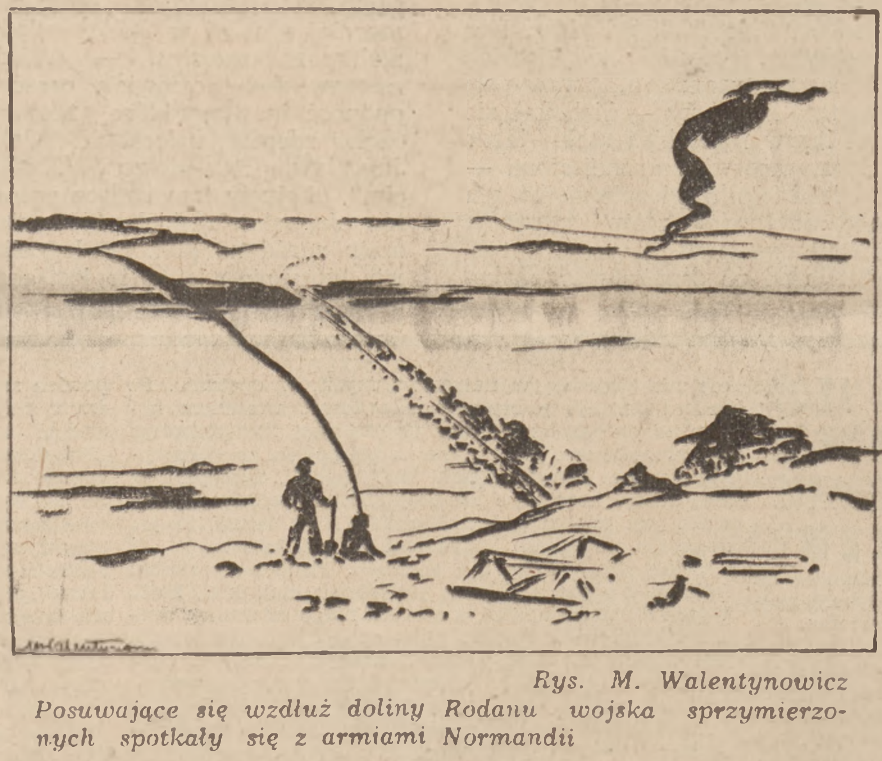
O.R.P. „Błyskawica" spędził miesiące poinwazyjne na zachodnich wodach francuskich, patrolując pomiędzy Cherbourgiem, a Briaritz. Na patrole także wychodziliśmy najczęściej z jeszcze jednym kontrtorpedowcem brytyjskim, lub kanadyjskim. Port opuszczaliśmy zwykle z rana, aby pod wieczór być na pozycji wyjściowej. Gdy zmrok zapadał, podchodziliśmy do francuskiego brzegu na odległość armatniego strzału. Następnie przez całą noc posuwaliśmy się wolno, wzdłuż wyznaczonego odcinka, obserwując wzrokiem i radarami powierzchnię morza i brzeg. Przed świtem oddaliliśmy się za horyzont, aby powrócić znowu z następnym zmierzchem.

Dla Francji nastały wówczas niespokojne noce. Z morza wyglądało, jakby cały kontynent przeżywał jakiś kataklizm. Nad ciemną wstęgą brzegu unosiły się łuny pożarów, ostrym odblaskiem gorzały strzały armatnie, mieniły się różnokolorowe rakiety. Niekiedy z Anglii przez radio zawiadamiano nas o mających nastąpić nalotach na którąś z baz. Chodziło o to, aby w ciemnościach nie strzelać do własnych bombowców. Każda taka ekspedycja płonęła zorzami ognia i wybuchów. Były one inne, niż wybłyski artylerii — stokroć silniejsze i bardziej czerwone. A przy tym gasły powoli, jakby niechętnie ustępowały swego miejsca na niebie.

Od czasu do czasu, nasze aparaty podsłuchowe wykrywały jakieś widma i cienie. Ruszaliśmy wtedy z miejsca na ich badanie. Najczęściej kończyło się na wystrzeleniu kilku pocisków oświetlających, po czym w ich poświacie ukazywały się zarysy smukłych żagli bretońskich. Były to z reguły łodzie rybaków. Z ich wnętrza dochodziła skarga na brak oleju pędnego, tzw. Mazoutu, albo na wiatr, który zacichł. To nie ich wina, że prąd znosi łodzie w zakazane strefy. Niekiedy, z głębi kutra dobiegał kobiecy płacz.

Bywało jednak i inaczej. Zwłaszcza jedna przygoda utkwiła nam w pamięci. Zdarzyło się to pod koniec czerwca. Właśnie drugą już dobę spędzaliśmy na patrolu pomiędzy Lorient, a Brestem, gdy po ciepłym dniu nastała duszna, parna noc. Wysokie chmury rozpraszały po niebie mętną poświatę, powodując wyjątkowo silne fosforyzowanie wody. Roztrącane dziobem cząsteczki toni, świeciły jasno - zielonkawym odblaskiem. Wał wodny, jaki ciągnęliśmy za rufą lśnił chyba na jakieś dobre dwie mile. Zwłaszcza z powietrza musiał być doskonale widoczny.

Wtedy to, około drugiej w nocy, radar zanotował po naszej lewej burcie podejrzane echa. Były one bardzo blisko lądu, pomimo to nie wyglądały na skały. Zmniejszyliśmy szybkość. Jednocześnie nasi nawigacyjni wzięli się do wykreślania namiarów na mapie. Po kilku minutach wiedzieliśmy już, że mamy przed sobą konwój niemiecki, posuwający się w cieniu brzegu kursem na południe



Rys. M. Walentynowicz

Posuwające się wzdłuż doliny Rodanu wojska sprzymierzonych spotkały się z armiami Normandii

Powoli, nie śpiesząc się, wysunęliśmy się przed dziób konwoju, podając jednocześnie sąsiadowi, że mamy zamiar utrzymać małą szybkość w czasie akcji. (Marynarze niechętnie używają słowa „walka", czy też „bój"). Gdy byliśmy na pozycji, działo oświetlające odpaliło pierwszy pocisk. W jego poświacie zarysowały się w oddali podłużne, czarne pasma. Był to konwój. Jego jądro stanowił duży, pasażerski statek, obok niego płynął drugi, mniejszy. Statki eskortowane były przez dwa traulery, przy czym za jednym z nich wlokła się dziwna jakaś sylwetka o wydłużonym, prostokątnym kształcie. Mógł to być dok pływający, lub jakiś desantowy statek. Nieco bliżej na tle ciemnego prostokąta, srebrzył się na powierzchni morza drobny punkt. Wkrótce zaczął się on przesuwać w stronę traulerów, tocząc za sobą wysoki wał wodny. Był to ścigacz. Ogólnie biorąc nieprzyjaciel nie przedstawiał wielkiej siły.

Zanim odpaliliśmy pierwszą salwę nad konwojem pojawiły się strugi różnokolorowych punkcików, rwące prostopadle ku niebu. Widocznie Niemcy wzięli nasz pocisk oświetlający za „flarę", rzuconą przez samolot i rozpoczęli ogień z broni przeciwlotniczej. Ze złudzenia wyrwała ich pierwsza nasza salwa. Upadła w samym środku konwoju, zasłaniając kolumnami wody obydwa statki. Następna, po kilku sekundach zabrała większemu z nich pół dziobu i pomost. Za każdą nową salwą płomienie strzelały z niego coraz wyżej ku niebu. Wreszcie ciemny kontur kadłuba przechylił się na burtę i nieprzyjacielski statek jął wolno znikać pod wodą. Do ostatniej jeszcze chwili z krateru rozwalonego dziobu unosiły się ku niebu czerwone języki płomieni. Nie wiele tu pomogły wysiłki ścigacza, który, krążąc dokoła tonącego statku, starał się go zasłonić przed nami ścianą białego dymu. Nie zdążył. Niebawem sam trafiony odłamkami pocisków, począł uchodzić w stronę brzegu, znacząc swój odwrót kłębami czarnej, gęstej sadzy, jaką wydziela płonąca benzyna.

W tym samym mniej więcej czasie nasz sąsiad uporał się z drugim niemieckim statkiem Wobec tego obaj przenieśliśmy teraz ogień na traulery. Strzelanie do nich przeciągało się, stanowiły one bowiem cel znacznie niższy i krótszy, przez co też trudniej było do nich trafić. Zresztą broniły się zaciekle. Mimo to ich sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Gdyby nawet Niemcy chcieli się poddać, nie było już teraz sposobu na zatrzymanie ognia.

Sąsiad nasz miał więcej szczęścia: jego trauler, trafiony jedną z salw, zniknął nagle z powierzchni morza jak domek z kart, zdmuchnięty od jednego tchnienia. Nasz natomiast — nie chciał zatonąć. Musieliśmy w końcu zbliżyć się do niego na jakie tysiąc metrów, aby dać upust naszej broni maszynowej. Działa główne zaprzestały wówczas strzelania. Po morzu rozległ się jedynie przeciągły terkot, podobny do ujadania sfory psów. Z naszych Boforsów, NKM-ów i Lewisów poszły ku traulerowi setki różnobarwnych pocisków. Lecąc nad wodą, jeden za drugim, odbijały się w morzu długą taśmą kolorów. Była to straszna kośba. Prąd pocisków po prostu zdzierał po kolei pomost, komin, maszty, nadbudówki. Sylwetka traulera dosłownie topniała w oczach, aż w końcu nad wodą nie pozostało z niej nic.

Najtrudniejszym do zatopienia okazał się jednak ów tajemniczy, prostokątny cień pływającego doku, czy też desantowego statku. Strzelaliśmy do niego już chyba z jakieś dziesięć minut, gdy wreszcie któryś z naszych obserwatorów zameldował, że jest to tarcza ćwiczebna. Oczywiście, że miał słuszność. I nic dziwnego, że nie mogliśmy jej zatopić. Inna sprawa, że Niemcy musieli widocznie stracić resztkę rozsądku, skoro teraz, w chwili, gdy waliła się cała ich potęga, przyszło im nagle do głowy ciągnąć za sobą z Brestau do Bordeau — tarczę ćwiczebną. Kolegom naszym z innych okrętów dało to powód do złośliwych docinków, że „Błyskawica", jak Don Quichote, walczy z wiatrakami. Nie mogli nam tej przygody zapomnieć przez długie miesiące.

Gdy wtedy zawróciliśmy, wiatr na powierzchni morza unosił wolno w stronę lądu strzępy dymów, zmieszane z zapachem spalonej ropy. Przystępowaliśmy właśnie do szukania rozbitków, kiedy raptem nieprzyjacielskie baterie nadbrzeżne otworzyły do nas energiczny ogień. Pozostawanie w ich zasięgu nie miało sensu, zwłaszcza, że nie widzieliśmy nawet skąd one strzelają, źródła bowiem wybłysków zakryte były nadmorskimi wzgórzami. Odeszliśmy więc pośpiesznie na przewidzianą pozycję patrolu. Baterie niemieckie strzelały jeszcze swe salwy nad pobojowiskiem, lecz przestaliśmy się nimi przejmować.

— Poor devils, they had no hancel — szepnął w ciszy angielski oficer łącznikowy na naszym pomoście. Jego proste słowa wyrażały to, co czuliśmy wszyscy.

Tego samego dnia w południe postanowiliśmy zbliżyć się do lądu i dokonać na nim wywiadu. Rozstawieni o jakie pół mili, podeszliśmy równolegle z naszym sąsiadem do brzegu, naprzeciw miejscowości Sables d'Olonnes. Malownicze to kąpieliskowe miasteczko bieliło się przed nami na tle zielonych wzgórz. Gdy dalmierz, podając odległość do znajdującej się na cyplu mola latarenki, zameldował sześć tysięcy — zatrzymaliśmy maszyny. Jednocześnie z pomostu padła komenda:

— Motorówka na wodę!

W kilka minut później zniknęła nam ona z oczu, wchodząc za falochron. Tak wyglądał pierwszy desant sojuszniczy na zachodnim wybrzeżu Francji.

Minęły potem długie kwadranse. Ląd nie dawał znaku życia. W końcu, w jednym z okien największego budynku portowego błysnęło światło: — sygnalizowali nasi marynarze. Jednocześnie, na dachu pobliskiego hotelu pojawiła się flaga. Widzieliśmy wyraźnie białe, czerwone i niebieskie pasy. Za pierwszą flagą — zjawiły się inne. Wkrótce „Tricolore" zapanował nad całym miastem.

Z meldunków naszych sygnalistów wyczytaliśmy, że Niemców w mieście nie ma, że wyszli dziś rano, i że kontakt z powstańcami został nawiązany. Na nabrzeżach zgromadziły się tymczasem grupki ludzi. Niebawem zza falochronu wyłonił się kuter motorowy, średnich rozmiarów, za nim zaś cała seria mniejszych łodzi. Szły falangą wprost na nas. Na kutrze powiewała gala: — największa z bander była francuska, nieco wyżej, nad nią, angielska, a jeszcze wyżej, na szczycie — polska.

Gdy kuter dobijał do burty „Błyskawicy", dobiegły nas słowa „Marsylianki": — „Le jour de gloire est arrive"... Śpiewana w łodziach rybackich po raz pierwszy od lat pięciu, tętniła owa pieśń szaleńczym uniesieniem. Na twarzach przybyszów widać było wzruszenie i łzy. Ujrzeliśmy i znaki „V", i kciuki, wzniesione do góry, ba, nawet pozdrowienia „frontu ludowego". Okrzyki: „Vive la Pologne"! mieszały się z uporczywym „Pas de Boches"! Jakby dla utwierdzenia faktu, że koszmarna rzeczywistość, która ledwie dziś rano stąd odeszła, nie wróci tu już więcej — nigdy.

Na pokładzie, scenom radości nie było końca. Młode Francuzki, dźwigając bukiety kwiatów, od razu popędziły tabunem na pomost. Pierwsza z nich, nie wytrzymała w biegu i szlochając jak dziecko, rzuciła się na szyję, stojącemu przy luku, sygnaliście. Wszystkie one nosiły opaski milicji, czyli

tak zwanej organizacji „Maquis". Byli to pierwsi powstańcy, jakich spotkaliśmy. Inna sprawa, że owych sławnych „Maquis" trochę inaczej sobie wyobrażaliśmy.

Tymczasem, na dole, w kabinie nawigacyjnej, odbywała się narada z przywódcami. Schyleni nad mapą, wskazywali nam oni pozycje oddziałów niemieckich, rozmieszczenie nieprzyjacielskich bateryj i umocnień. Dowiedzieliśmy się od nich, że dwa dni temu kolumna niemiecka spaliła całą dzielnicę miasta i wymordowała przy tym dwudziestu obywateli łącznie z merem za to, że dnia poprzednie go powstańcy zaatakowali jeden z ich patroli. W ogóle, regularnie, co kilka dni, odbywały się plądrowania i rabunek w ich domach. Niemcom chodziło głównie o prowiant, zwłaszcza o świeżą rybę. Największy jednak problem stanowiło to że „Maquis" nie mieli ani broni, ani amunicji. W chwili, gdy waliła się przemoc okupanta, nie mieli czym walczyć z „bocheami"!

Gdy łodzie odbijały od naszej burty, Francuzi pokrzepieni na duchu, mieli znacznie lepsze miny. Załadowaliśmy przecież do ich kutrów, wszystkie karabiny maszynowe, jakie posiadaliśmy i połowę ręcznych. Poza tym, kupę granatów, hełmów i kilka lornetek. A przede wszystkim — amunicję, i to w takiej ilości, że jak mówił stary szef naszej artylerii, mogła ona wystarczyć Francuzom i na następną wojnę. W zamian za to, zyskaliśmy od nich cenną wiadomość, że obok, w Audierne, są — Polacy.

Rzecz prosta, postanowiliśmy udać się do nich następnego ranka.

Nazajutrz, około godziny ósmej zaczęliśmy wołać: ląd. Próbowaliśmy „Aldisów", potem dużego reflektora sygnałowego. Na punkcie obserwacyjnym nikt się jednak nie zgłaszał. Gdy i syrena nic nie pomogła, wystrzeliliśmy nad miasto pociski oświetlające. Wyglądały śmiesznie, bo dzień był biały i słońce wytoczyło się już wcale wysoko ponad wierzchołki wzgórz. Ale pomogły, bo na balustradzie wejściowej latarenki pojawiło się światło. Miganie jego było nierówne i zacinało się chwilami. Widocznie jakaś niewprawna ręka naciskała klucz, nadając przy tym długą serię: „FFI, FFI, FFI, FFI"... Gdy pokwitowaliśmy, że rozumiemy, otrzymaliśmy w końcu odpowiedź: „Sommes de service. Pas d'Allemands"!

Zatrzymaliśmy okręt i nasza motorówka ruszyła do portu. Z Atlantyku szła duża, martwa fala, podnosząc się jeszcze bardziej na przyboju. W dodatku, nawigator przestrzegał nas, by ze względu na niską wodę nie trzymać się środka rzecznego koryta. Na szczęście, przed wejściem do portu, kołysało się na redzie kilka łodzi, zajętych połowem. Z najbliższej z nich, zabraliśmy pilota. Co prawda, mówił jakimś trudnym, baskijskim akcentem tak, że nie sposób go było zrozumieć.

Za zakrętem rzeka rozszerzyła się nagle. Po lewej ręce mieliśmy przed sobą schludne miasteczko rybackie, z kwadratowym placem po środku, otwartym od strony rzeki. Gdzieniegdzie, widać było grupki ludzi, przyglądających się z zainteresowaniem naszej motorówce, a zwłaszcza dziwnej banderze, jaką miała na rufie.

Na schodni przywitał nas starszy pan, ubrany w żółte drelichy, jakie dawniej na codzień używali na okrętach oficerowie francuskiej marynarki. Na głowie miał czapkę z odznakami capitaine de corvette. Towarzyszyły mu ze dwa tuziny dzieci. Wytłumaczliśmy mu, że celem naszej wizyty jest nawiązanie łączności z polskimi jeńcami i ich uwolnienie. Francuz obiecał pomoc w zorganizowaniu sygnalizacji, natomiast co do jeńców, w grzecznej formie oświadczył, że decyzja należy całkowicie do „commandant civil", który urzęduje naprzeciw, w „Hôtel de France".

Skierowaliśmy się więc w tę stronę, mijając napisy drogowe i urzędowe afisze, drukowane gotykiem.

Samo biuro było brudne i nieinteresujące. Środkową w nim pozycję zajmowała niemiecka, polowa centrala telefoniczna oraz zasilająca ją bateria akumulatorów. Personel biura składał się z dwóch członków milicji z opaskami FFI na rękawach. Obaj wyglądali na rezolutnych młodzianów, przy czym fantazję ich podkreślały szczególnie jaskrawo - czerwone krawaty i rewolwery, niedbale zwisające u bioder. Przywitali się z nami, nie wyjmując papierosów z ust. Nasz przewodnik był z tego powodu wcale zaambarasowany. Starał się też od razu odwrócić naszą uwagę, sprowadzając rozmowę na temat ławicy ryb, jaka ukazała się nieoczekiwanie wczoraj z wieczora.

„Commandant civil" spał jeszcze, ale jeden z urzędujących milicjantów poszedł go obudzić. W międzyczasie, izba zapełniła się szczelnie młodymi ludźmi. W tłumie, dużą jego część stanowiły kobiety. Na wszystkich twarzach malowały się jakieś kwaśne nastroje. Nie mogliśmy rozeznać się w tej atmosferze, zwłaszcza po wczorajszych serdecznościach.

Po dobrej godzinie czekania drzwi rozwarły się na oścież, wyważone gwałtownie kolanem wchodzącego. Na progu ukazała się sylwetka barczystego, młodego mężczyzny, starannie ubranego, o angielskich rysach twarzy. Witając się z członkami milicji, podawał im jednocześnie obie dłonie do uściśnięcia. Wreszcie zauważywszy dowódcę naszego desantu, rzucił w przestrzeń pytanie:

— Sprechen Sie deutsch, Leutenant?

Otrzymał na to odpowiedź w najczystszym paryskim dialeckie wraz z uwagą, że przyjemniej nam będzie z nim rozmawiać w jego własnym języku, po francusku. Wyjaśniliśmy przy tym cel naszego przyjazdu.

— Tu nie ma jeńców polskich! — przerwał.

— Więc gdzie są Polacy? — padło z kolei nasze pytanie.

— Wczoraj sami oświadczyli, że chcą wstąpić do milicji. Od dwudziestu czterech godzin są członkami Forces Francaises de l'Interieur. I honorowymi obywatelami walczącej Republiki.

Nie ustąpiliśmy jednak i zażądaliśmy zobaczenia się z naszymi rodakami. Nastąpiła chwila wahania, wreszcie krótkie:

— D'accord!

Po kwadransie wprowadzono do pokoju kilku obdartych biedaków, w postrzępionych spodniach i brudnych koszulach. Jeden z nich miał na sobie coś, co przypominało kurtkę. Najwięcej mówiły ich oblicza: — były niezaprzeczalnie polskie. Zapytaliśmy komendanta, czy pozwoli nam porozmawiać z rodakami po polsku. Przytaknął, nie odrywając wzroku od szyb okiennych. W dali, za nimi, widniała na horyzoncie sylwetka polskiego kontrtorpedowca. Z nędznej izby, widziana poprzez ciasną futrynę okienną, sprawiała wrażenie potęgi i siły.

Powiedzieliśmy krótko, po prostu, że przyjechaliśmy ich zabrać. Jeżeli zechcą, jeszcze dziś wieczorem będą w Anglii, a za dwa, lub trzy dni — w polskim mundurze i na froncie razem z polską armią. Albo, jak my — na okrętach. Co wolą, bo Polska walczy nadal...

W miarę, jak mówiliśmy, słowa przychodziły nam z rosnącą trudnością. W końcu, już tylko zapytaliśmy, czy wolą pozostać, czy pojadą z nami. W ciszę sali padły kolejne odpowiedzi, krótkie, nawpół szeptane, jak słowa modlitwy.

Francuzowi nie trzeba ich było tłumaczyć. Aż nadto wyraźnie rozumiał drżenie głosu tych biedaków i łzy w ich oczach. „Więc dobrze" — zaznaczył — ustąpi. Tylko musi mieć dowód na piśmie. Odda Polaków, ale za pokwitowaniem, bo chce być kryty wobec swoich władz.

Nam, podpisy były zupełnie obojętne. Samemu czortowi bylibyśmy pokwitowali, byle tylko uratować tych kilku współbraci.

Na spakowanie bagażu nie straciliśmy wiele czasu, bo też właściwie nasi Polacy nie mieli nic do zabrania. Dosłownie nic. W drodze na okręt powiedzieli nam, że się przyzwyczaili do Francuzów. Za dnia, pozwalano im normalnie odpoczywać. Noce natomiast spędzali w „terenie", na utarczkach z Niemcami. Najczęściej zastawiali na nich zasadzki przydrożne, pod lasem. Niekiedy dokonywali wypadów na składy, pomniejsze baraki żołnierskie, lub baterie dział. Nie chwaląc się, sami wzięli więcej jeńców do niewoli, niż cały oddział francuski. Jak tam teraz Francuzi opędzą się Niemcom bez nich, Bóg jeden wie! Szczególnie boleśnie — twierdzili — da im się we znaki brak Antka, który feldfeblem w wojsku niemieckim był, a potem przewodził wszystkim wyprawom. W istocie, był to zuch chłopak. W tej chwili, największym jego pragnieniem było nowe parabellum. Dawne, którym już chyba ze dwa tuziny niemiaszków na drugi świat wysłał, rozbił mu pocisk karabinowy podczas ostatniego patrolu. Zresztą postrzelali też Antkowi Niemcy przy tej okazji obie dłonie. Początkowo nic sobie z tego nie robił, ale teraz skarżył się: — zaczęło go piec na dobre. Gdy przybyliśmy na okręt, okazało się, że kości jego dłoni zrosły się krzywo i że trzeba je ponownie łamać.

Była to jednak drobna kropla smutku w morzu radości. Marynarze otoczyli przybyłych kołem. Każdy chciał z nimi pogawędzić i dowiedzieć się kiedy ostatni raz byli w Polsce. Przede wszystkim musieliśmy ich nakarmić, gdyż FFI żywiło ich kiepsko. Z reguły, na lądzie otrzymywali pożywienie raz dziennie i to przeważnie w postaci zupy.

Schodząc do mesy, dowiedzieliśmy się, że w Warszawie wybuchło powstanie. Oto dnia tego stolica porwała za broń. Powstańcy zawładnęli znaczną częścią miasta. Radiostacja jest w ich ręku. Bój o dalsze dzielnice trwa. W samej Warszawie słychać odgłos walk na prawym brzegu Wisły. Wojska sowieckie wraz z dywizjami polskimi dochodzą do Pragi...

W mesie, na grodzi, wisiała olbrzymia mapa Europy. Na niej chorągiewkami wytyczono linie frontów. Było ich kilka. Na każdym z nich widniała biało - czerwona flaga. Zatknięto ją i nad Włochami, i wyżej, nad Normandią, i na wschód od Wisły, i tutaj, w Biskajskiej zatoce. A ileż było takich frontów, o których nikt nic nie wiedział, jak o tych Polakach z Audierne! Wojna, która się zaczęła o Polskę, trwała o Nią w istocie na wszystkich frontach. Szliśmy ku Niej ze wszystkich kierunków i różnymi drogami. A przy tym szliśmy tak, jak nas na to było stać — poświęcając wszystko. Patrząc na mapę, widzieliśmy, z całym przekonaniem, że naród, który ma taką wolę życia i wolność — nie może zginąć.

A teraz oto w samym środku Polski, nad Warszawą, zatknęliśmy w tym dniu pamiętnym nową flagę. Serce rozsadzała nam duma, że to miasto prześladowane i przez pięć lat niszczone, żyje przecież i znowu walczy. W chwili, gdy wystawione milionowym wysiłkiem armie sprzymierzone, ruszają po latach do decydującego boju — Warszawa, stolica Polski, powstaje z podziemi, by bić się o własną i cudzą wolność.

JÓZEF BARTOSIK

ROZMOWA Z PISARZAMI JUGOSŁOWIAŃSKIMI



W czasie swego pobytu w Warszawie pisarze jugosłowiańscy złożyli wizytę ministrowi Kultury i Sztuki Dybowskiemu. Pośrodku siedzą: Kaleb i Klemenczicz, na prawo od nich minister Dybowski.

(Dokończenie ze str. 5)

Mam takie wrażenie, jakbym się stała Polką — mówi Desanka Maksymowicz. Słowa płyną szybko, przeplatane czasami jakimś polskim wyrażeniem. Czarne oczy błyszczą żywością i wesołością. — I jeszcze powiem — tak mi się wydaje, jakbym przeżyła tu nie miesiąc, a 10 lat. Chyba nawet więcej. Bo na przykład ogromne wrażenie zrobił na mnie Biskupin i świetnie prowadzone tam prace wykopaliskowe. Zdawało mi się, że przenoszę się w tamtą epokę i próbowałam wyobrazić sobie, jacy byli tamci ludzie, jak żyli, co czuli. Czy tak samo jak my...

— Przez cały czas pobytu u was, czuliśmy się jak u siebie. Byliśmy na Wybrzeżu, na Śląsku, rozmawialiśmy z uczonymi... literatami i robotnikami — wszędzie spotkaliśmy się z najserdeczniejszym przyjęciem, wszędzie ujrzeliśmy to samo co u nas: wolę zwycięstwa w walce o szczęście i dobrobyt narodu.

Jako kobieta także dumna jestem z tego, że poznałam wasze kobiety, że one tak samo jak u nas, przecierpiawszy wiele w czasie wojny, zajmują dziś poczesne miejsce w życiu politycznym, gospodarczym i kulturalnym kraju.

— Ogromnie, dużo wynieśliśmy z naszych spotkań i rozmów z kolegami po piórze. Znamy dobrze waszą literaturę klasyczną. Tłumaczenia Mickiewicza, Sienkiewicza i innych polskich klasyków są u nas bardzo popularne. Mniej znamy literaturę współczesną. Teraz mamy nadzieję, że odrobimy zaległości. Najważniejsze jest, by jak najlepiej poznać wzajemnie język. Mamy już lektoraty polskiego — ale to wszystko mało. Cóż — właściwie zaczynamy dopiero zacieśniać nasze stosunki kulturalne...

Niewątpliwie — zaczynamy. Po pobycie kilku polskich literatów w Jugosławii obecna wizyta pięciu przedstawicieli sztuki i literatury jugosłowiańskiej w Polsce jest drugim poważnym krokiem naprzód w dziedzinie współpracy kulturalnej obu krajów. Najważniejsze jest jednak przede wszystkim to, że daleko odbiegła ona od zdawkowych, kulturalnych odwiedzin. Najważniejsza jest ta prawda, o której z takim zapałem powiedziała Desanka Maksimowicz: oni pobyt swój w Polsce przeżyli. Świadczy to o mocnych i trwałych podstawach wzajemnego zrozumienia i przyjaźni. A na tym łatwo jest budować potrzebną, owocną współpracę.

L. Z.

WYSTAWA BRYTYJSKIEJ SZTUKI GRAFICZNEJ

W MUZEUM NARODOWYM

Pokaz grafiki zorganizowany przez Britsh Council i Muzeum Narodowe, obejmuje 127 prac z zasadniczych technik graficznych. Ponieważ jest to — w ciągu ostatniego roku — trzecia wystawa, poświęcona W. Brytanii, (po RAF-ie i Tate - Gallery), przewodniczący British Council, dziękując Rządowi, dyrekcji Muzeum i społeczeństwu za zainteresowanie, zaznaczył, że Brytyjczycy przekonali się raz jeszcze o życzliwości i sprzyjającej atmosferze, jaka otacza w Polsce wszelkie poczynania w dziedzinie współpracy i wymiany kulturalnej.

Wystawa informuje zgrubsza o osiągnięciach grafiki brytyjskiej w ciągu ostatniego 50-lecia; ogromny to okres, jeśli zważyć, ile prądów artystycznych przewinęło się w tym czasie poprzez sztuki plastyczne świata. Grafika Brytyjska wykazuje wprawdzie owe wahania, lecz właściwie tkwi korzeniami w XIX wieku. W odpowiedzi na głosy utyskujące, że na wystawie „dzieje się" mało nowego, możnaby się zastanowić, czy mamy prawo ganić Brytyczyków, iż wolą fermentować sobie dowoli w ciszy swych pracowni, nam zaś pokazywać rzeczy tak dojrzałe, że każda ich wystawa jest „wystała", klarowna i — w pewnym sensie — retrospektywna.

Grafika daje — wobec bogactwa swych technik — wszelką swobodę wypowiedzi artystycznej; zadania jej pojmowane są różnie, o czym wiele się ostatnio pisało. Ilustracja — a więc grafika użytkowa — nie może oczywiście unikać tematu; to samo,— z bardzo nielicznymi wyjątkami — da się powiedzieć o dotychczasowej grafice w ogóle. Sztuka brytyjska jest wybitnie tematyczna, — ujęcie zaś tematu przez lwią część obecnych wystawców — wybitnie realistyczne.

Mimo to wystawa nie jest nudna; sprawia ten end przede wszystkim powszechna (jest 120-u wystawców!) rzetelność wysiłku artystycznego, oraz doskonałe opanowanie rzemiosła, wynagradzające zbytnią miejscami powściągliwość. Najbardziej konserwatywnie traktowane są chyba studia portretowe, wykonywane przeważnie z fotograficzną dokładnością. Dobra jest w tej dziedzinie między innymi „Maska" Balla (jedynego wystawcy, który nie skończył lat 30-u), „Patricia" Taylora, portret Sommerseta Manghama, — akwaforta Andrewa „Czytanie listów Pani Carlyle" Dodda, odznaczające się doskonałym rysunkiem. Także kompozycje i studia portretowe animalistów są przeważnie wnikliwe i znacznie śmielsze od innych. „Dziki" Orovida „Joie de vivre" Osborne'a, to doskonałe prace łączące znawstwo tematu z dużą dekoracyjnością i poczuciem humoru. Dziwne, że przy niewątpliwym wyczuciu zwierzaka, mało miejsca zajmuje w tych pracach pies, temat wdzięczny i niewyczerpany, choć sztuka brytyjska ma pod tym względem duże tradycje. Najliczniej reprezentowany jest pejzaż, ulubiona dziedzina Brytyjczyków. Ogromną przewagę liczebną osiąga tu pejzaż poza — miejski (znakomita „Tratwa" — mezzotinta Shorta, subtelne rysunecz ki (owerna, dwie śmiałe akwaforty Grossa) — Są jednak, choć nieliczne, motywy miejskie i przemysłowe („Huta" Pottera, dobra kompozycja „Sobotni wieczór" Smitha). W kompozycji figuralnej znajduje gdzie niegdzie odbicie okres ostatniej wojny co prawda bardzo nieśmiało. Co zaś do akcentów społecznych — mamy przede wszystkim pełne temperamentu kompozycje Brangwyna, artysty urodzonego w r. 1867, oraz — w innym rodzaju — „Pływalnię" Ravillionsa. W dziale grafiki barwnej mniej jest na ogół realizmu, niż w innych, jednak samodzielne założenia kolorystyczne właściwie nie istnieją. Kolor jest podporządkowany tematowi i formie.

Wystawione wydawnictwa ilustrowane pochodzą z ostatniego dwudziestolecia; dwie książki — nawet z lat wojny. Mówiąc językiem wydawców — „zrobione" są prześlicznie.

W starannie opracowanym i ładnie wydanym katalogu trafnie scharakteryzował twórczość Anglików p. Laver. Istotnie — ogólne wrażenie z tej wystawy — to krzepiąca atmosfera sumiennej i wytrwałej pracy w pogodzie ducha i skupieniu.

A. Z. L.



L. Underwood: Charro spotyka Charra. Drzeworyt barwny



F. Dodd: Czytanie listów pani Carlyle Sucha igła

Nowe książki

Janusz Meissner — Skrzydła nad Arktykiem. Wspaniała i barwna przygoda, wielkie napięcie dramatyczne, żywe opisy Arktyku „z lotu ptaka" — składają się na całość tej książki. Bohaterzy jej biorą żywy udział w akcji, toczącej się wśród nieustannych niebezpieczeństw i walk z żywiołami — z mrozem, lodem, śniegiem, morzem i powietrzem. Str. 231. Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

Józef Ignacy Kraszewski — Hrabia Costel — powieść w 2-ch tomach, str. 238+220, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

W. Supiński — Od Westerplatte do Hiroszimy. — Książka o drugiej wojnie światowej, wydana przez Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu omawia, analizuje i ocenia wydarzenia tej wojny z punktu widzenia polskiej racji stanu. Daje w niej autor wprawdzie ogromny materiał, ale umiejętnie i proporcjonalnie rozłożony odpowiednio do wagi zagadnień.

Liczne fotografie dotyczące wydarzeń i osób kierujących zmaganiami w czasie wojny, sprawiają, że lektura książki utrwala się w pamięci czytelnika. Pomysłową okładkę projektował artysta malarz A. Krakowski, str. 180. Wydawnictwo Zachodnie Poznań.

Jan W. Czarnowski — Elektryfikacja wsi w Polsce.

Zagadnienia gospodarcze i techniczne. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka". Str. 204.

KĄCIK JĘZYKOWY

NIŻ I JAK

Zdarzyło mi się napotkać w druku — nie w gazecie, ale niestety w książce — takie zdanie: „Gołąb jest większy jak wróbel". Zastanowiłem się nad nim i uprzytomniłem sobie, że w rzeczy samej często dopuszczamy się tego rodzaju błędu w składzie zdań porównawczych: mylimy spójnik „niż" ze spójnikiem „jak". „On jest lepszy jak ty" — można takie zdanie nieraz usłyszeć.

A jak powinno być poprawnie? Powinno być: Gołąb jest większy niż wróbel; on jest lepszy niż ty. Albo: gołąb jest większy od wróbla; on jest lepszy od ciebie.

Możemy sobie, jeśli wola, zapamiętać prawidło: spójnika „jak" używamy przy zestawieniu przedmiotów, których właściwości są jednakowe, równe, a więc: ciężki jak ołów, lekki jak piórko, zły jak szerszeń, dobry jak anioł, ponury jak noc etc.

Spójnikiem „niż" posługujemy się wówczas, gdy właściwości są niejednakowe, gdy zestawiamy przedmioty, z których jeden posiada pewne właściwości w stopniu wyższym niż inny; powiemy tedy: gołąb jest większy niż wróbel, ojciec jest starszy niż matka, gruszka jest słodsza niż jabłko, Warszawa jest bardziej zniszczona niż Poznań itp.

Przy okazji jeszcze parę pospolitych błędów językowych. Mówimy nieraz: stawiać wniosek, postawić wniosek pod głosowanie, postawić wniosek pod dyskusję. Możemy po polsku: wystąpić z wnioskiem, wysunąć wniosek, poddać wniosek pod głosowanie, podać wniosek pod dyskusję.

Słyszymy zwrot: rozchodzi się o coś — słyszymy go nie tylko u bohaterów Wiecha, ale w ustach ludzi inteligentnych. Poprawiajmy ich: chodzi o coś, idzie o coś.

Mówią ludzie: ubrać płaszcz, ubrać suknię. Trzeba mówić: ubrać się w coś — ubrał się w płaszcz, ubrała się w suknię. Albo: nałożył płaszcz, włożyła suknię, wdział płaszcz, wdziała suknię — choć to ostatnie zwroty są już być może przestarzałe.

Powiadamy: stawiać wymagania. Lepiej będzie po polsku: czynić wymagania lub krótko: wymagać. Powiedzmy tedy: nie wymagajmy od siebie absolutnej znajomości polszczyzny, jednakże starajmy się mówić możliwie poprawnie i pięknie.

Bakałarz



— Panie Józefie, czy pan myślał kiedy poważnie o małżeństwie?
— Myślałem.
— A dlaczego pan się dotąd nie ożenił?
— Właśnie dlatego, że myślałem.

KRONIKA KULTURALNA

ILJA ERENBURG wraz z literatami radzieckimi i jugosłowiańskimi w swej podróży po Polsce odwiedził również Łódź. Jednym z punktów programu ich pobytu tutaj była „czarna kawa" w sali malinowej Grand-Hotelu. Przyjęcie wypadło elegancko. Gospodarzami byli literaci łódzcy. Widziało się przedstawicieli całego społeczeństwa. Wygłoszono kilka przemówień. Toczyły się dyskusje towarzyskie. Erenburg mówił o wrażeniach, jakie odebrał w Polsce. Potem gawędziło się o literaturze i jej zadaniach, czyli dotknięto tematu, bardzo dziś u nas aktualnego, na który niedawno namiętnie rozprawiał Kott z Żółkiewskim. Ktoś wspomniał Prousta, jako zły przykład pisarza, który się odosobnił od życia, zerwał z rzeczywistością i zamknął się w swej splendid isolation, w czterech ścianach swego gabinetu. To nie był pisarz demokratyczny! Erenburg z uśmiechem protestował. Pardon, mesdames et monsieurs — mówił mniej więcej w te słowa: — to był wielki pisarz. Co się tyczy jego odosobnienia, że się zamknął na kilka lat w pokoju, wyłożonym korkiem, aby żaden szmer z zewnątrz, z życia nie dochodził do niego — to zupełnie zrozumiałe: w takich warunkach, w takim doskonałym zaciszu, najlepiej jest tworzyć. Zapytajmy wszelako, co robił Proust przed tym, zanim się zamknął, zanim przystąpił do pisania swego arcydzieła, swego „Poszukiwania straconego czasu". Śmiem zapewnić państwa — w te mniej więcej słowa mówił Erenburg — że żył bardzo intensywnie, brał w życiu udział gorący, patrzył na wszystko pilnie, obserwował, uczył się, wchłaniał w siebie rzeczywistość. A gdy już dojrzał do tworzenia — zamknął się. I tak właściwie być powinno — mówił Erenburg z uśmiechem: — taka jest tajemnica twórczości literackiej. — Ale to wymaga długiego czasu! — odezwał się z rozczarowaniem któryś z polskich biesiadników. — Oczywista — odrzekł Erenburg, wciąż ze swym paryskim uśmiechem na ustach: — dobra literatura nie spada z nieba: lepsza jest jedna „Wojna i pokój", nad którą Tołstoj siedział kilkanaście lat, niż setki aktualnych powieści, pisanych od ręki. — Zdawałoby się, że to, co mówił znakomity pisarz radziecki, jest prawdą starą, uznaną, powtarzaną nieraz przed nim przez takich olbrzymów literatury, jak Flaubert, Conrad, Tomasz Mann... U nas, w Polsce, na tle sporu pod hasłem „dawajcie nam natychmiast literaturę!" — słowa Erenburga zabrzmiały przecie jak objawienie: tak bardzo jednak jesteśmy umysłowo zacofani.

„TAK JEST, niemasz podziału między tymi Rosjanami i Polakami, którzy kochają wolność": te słowa, wypowiedziane przez Joachima Lelewela w r. 1847, kładzie jako motto swojej ostatniej kroniki tygodniowej w numerze radzieckim „Nowin Literackich" St. R. Dobrowolski. Prawdę powiedział nasz stary i mądry dziejopis — powiedział ją w chwili osobliwej, w przeddzień wybuchu „Wiosny Ludów". W roku przyszłym będziemy obchodzili stulecie tego romantycznego marzenia o wolności, w jakim się zatopiła wówczas cała Europa, by się potem ocknąć w niewoli despotyzmów. Może dziś wreszcie, po stu latach, ziści się sen naszych dziadów o braterstwie ludów i nowym, szlachetnym świecie...

WZNOWIONY został „Przegląd Filozoficzny", którego wydawanie przerwała w r. 1939 wojna. Jego zeszyty 1 — 4 za rok 1947 wyszły w postaci obszernego tomu (176 stron) pod redakcją prof. Władysława Tatarkiewicza. W tomie tym na szczególną uwagę zasługują dwie rozprawy o egzystencjalizmie: prof. Bogdana Suchodolskiego „O wielorakości i jedności egzystencjalizmu", oraz poległego w powstaniu warszawskim młodego filozofa Mieczysława Milbrandta „Filozofia egzystencjalna Gabriela Marcela". Wobec bałamutnych i najsprzeczniejszych pojęć, jakie mamy o egzystencjalizmie i o jego głosicielu — J. P. Sartre, obydwie rozprawy, sięgające genetycznie i historycznie w istotę zagadnienia, mogą inteligentnemu czytelnikowi rozjaśnić wiele wątpliwości. **St. Łatka.**

DZIENNIKARZE radzą...

RYS. JULIAN ŻEBROWSK

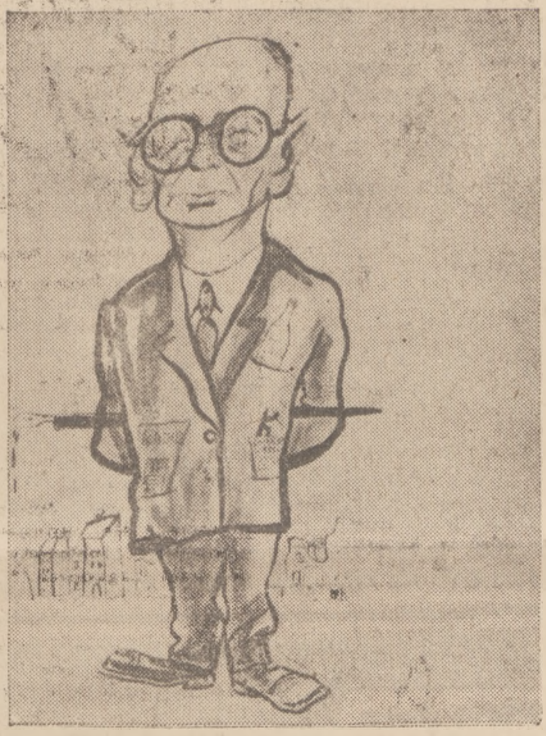
Dla czytelnika gazet dziennikarz jest osobistością tajemniczą. Każdy czyta gazetę, mało kto widział „żywego" dziennikarza. To nic dziwnego. Związek Zawodowy Dziennikarzy, to chyba najmniej liczebny Związek Zawodowy w Polsce. Liczy wszystkiego nie wiele ponad tysiąc członków w całym kraju. Ta niewielka ilość zawodowych dziennikarzy to najbardziej poczytni pisarze, posiadają bowiem wielomilionową rzeszę czytelników. W tym tygodniu odbywa się w Szczecinie Zjazd Delegatów Związku Zawodowego Dziennikarzy z całej Polski. Przy tej okazji podajemy kilka sylwetek popularnych dziennikarzy, pragnąc w ten sposób uchylić rąbka zasłony tajemnicy, oddzielającej dziennikarza od jego czytelnika.



Red. Rafał Praga — Zaraz, zaraz, coś miałem sobie przypomnieć.
— Aha, już wiem! Miałem zapomnieć o pewnej wizycie, ale nie pamiętam o jakiej!



Red. Wiktor Borowski — Rozmyślania nad „Życiem".



Red. Modest Dobrzyński — „Robi" miasto czy na szaro?



Red. Zdzisław Sachnowski — człowiek musi dźwigać ciężar piórka dziennikarskiego



Red. Karolina Beylin: Karolina z „Przyjacielem"

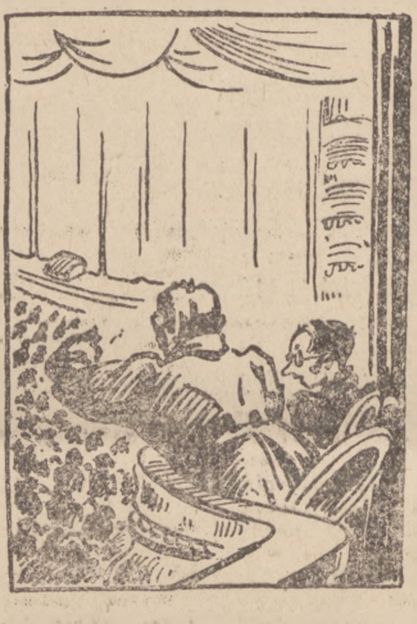


Red. Tabaczyński — Wygląda jak „tabaka" w rogu



Red. Roman Wojciechowski. „Potęga" pióra.

ANEGDOTA HISTORYCZNA



CZYJA SZTUKA LEPSZA?

Podczas premiery sztuki Emila Augier'a w Komedii Francuskiej, Aleksander Dumas (syn), który siedział w pobliżu autora, wskazał mu palcem jakiegoś śpiącego widza i rzekł:

— Patrz pan, jaki skutek wywiera pański utwór.

W jakiś czas później, gdy grano sztukę Dumas'a, Emil Augier rozejrzał się uważnie po sali i znalazł także śpiącego widza. Oddając pięknem za nadobne, oznajmił:

— Patrz pan jaki skutek wywiera pański utwór

Aleksander Dumas spojrzał i odpowiedział:

— Tak, poznaję go. To ten sam widz z pańskiej premiery. Jeszcze się nie obudził.

TAM gdzie się narodził PRZEMYSŁ spółdzielczy

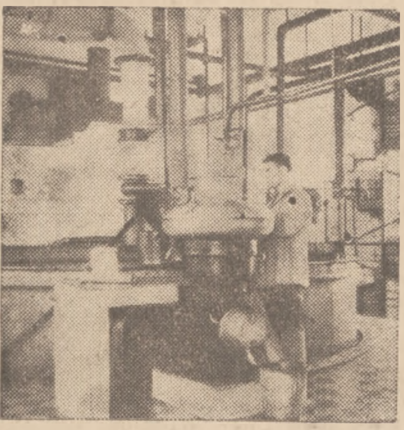


Foto - SAP

Urządzenia drożdżowni wyglądają jak laboratorium alchemika.

Na swojej drodze do przebudowy gospodarczej spółdzielczość musiała się zetknąć z zagadnieniem własnej produkcji — w pierwszym etapie — artykułów pierwszej potrzeby. Realizacja zasad spółdzielczych, które sprowadzają się do walki z wszelkiego rodzaju pośrednictwem natrafiłaby w pewnym momencie na przeszkodę nie do przebycia, gdyby nie posiadała własnej wytwórczości opartej na zdrowych podstawach gospodarki uspołecznionej. Dlatego też walka spółdzielczości o produkcję prowadzona w ustroju liberalno - socjalistycznym natrafiała na nieprzebierających w środkach wrogów i to zarówno ze strony przedsiębiorców prywatnych, jak i karteli, które były zawsze w tej szczęśliwej dla siebie sytuacji, że początkującej dopiero produkcji spółdzielczej przeciwstawiały doskonale zorganizowany i silny kapitałowo organizm. Obawa przed interwencją cen ze strony spółdzielczości, obawą uzasadniona szeregiem doświadczeń (np. cukierki w 1936 r., mydło w 1935 r.) była motywem podniecającym walkę przedsiębiorstw kapitalistycznych ze spółdzielczością.

Poszczególne spółdzielnie, jako jednostki zbyt słabe gospodarczo nie były w stanie podjąć nierównej walki. Mogła to natomiast uczynić i uczyniła organizacja o szerszym zasięgu oparta prawie o całą spółdzielczość polską — mianowicie Związek Polskich Stowarzyszeń Spożywców (obecnie „Społem"). Związek ten pokusił się o stworzenie własnych zakładów produkcyjnych. Są to dzisiejsze Zakłady Wytwórcze „Społem" w Kielcach.

Zakłady Kieleckie — to nie tylko największa, ale i najstarsza fabryka spółdzielcza. W roku 1918 „Społem" wykupiło w Kielcach fabrykę cementu, uruchomiając tutaj wytwórnię mydła. Był to eksperyment. Dotychczas spółdzielczość polska nie posiadała nigdy własnej fabryki. Dnia 15 września 1920 r. odbyła się pierwsza warka 500 kg. mydła. Zatrudnionych było wówczas 24 robotników. W r. 1923 uruchomiono fabrykę pasty i toreb, w 1926 — mydła toaletowego, w 1927 — gilz i zapraw do podłóg. W 1928 — proszków do prania, w 1931 — świec i środków do czyszczenia, 1932 — octu i musztardy, w 1936 — przypraw do zup i kostek bulionowych, w 1938 następuje unowocześnienie octowni, w 1939 założenie drożdżowni.

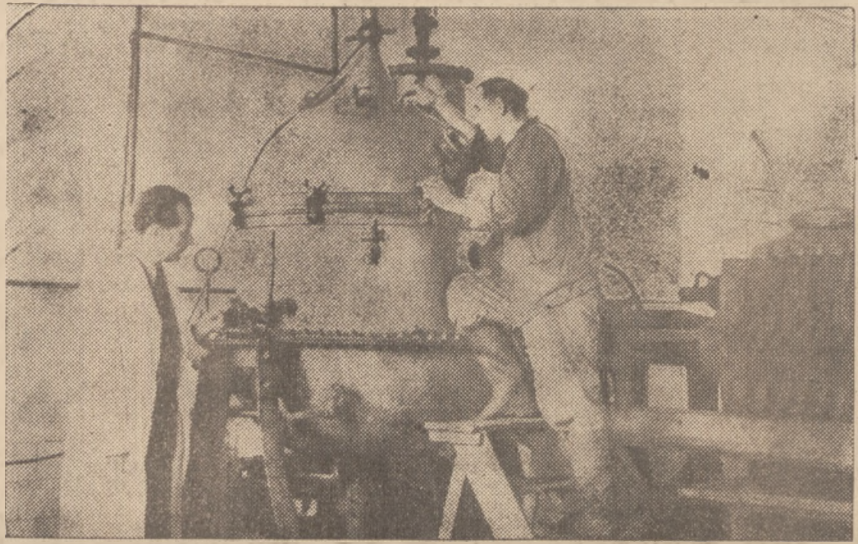
Eksperyment udał się. Kielce stają się miejscem pielgrzymek spółdzielców, którzy na własne oczy mogą się przekonać o realności koncepcji produkcji spółdzielczej.

Po wojnie i ustąpieniu okupacji następuje nowy rozwój zakładów już w nowej rzeczywistości społecznej i politycznej.

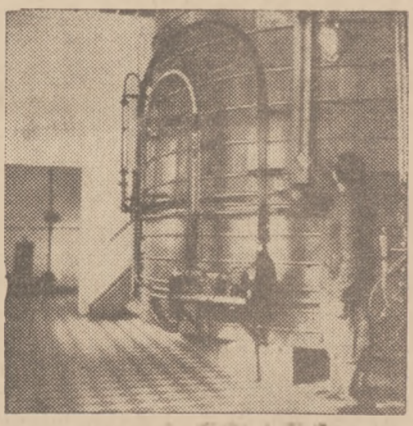
Obecnie Zakłady składają się z fabryki drożdży, gorzelni, octowni, mydlarni, wytwórni artykułów kosmetycznych, past, świec, toreb i gilz, skrzyń i mebli, bulionów i przypraw oraz tartaku. Posiada więc charakter kombinatu produkcji artykułów spożywczych i gospodarstwa domowego, czyli tych na jakie nastawiona jest produkcja spółdzielcza z tytułu swoich zadań. Jest to jednocześnie ośrodek doświadczalny, którego doświadczenia spółdzielczość wykorzystuje przy organizowaniu powierzonych sobie w ramach racjonalizacji zakładów przemysłowych. Wydział Produkcji „Społem" który przed wojną posiadał zaledwie kilka fabryk stał się w ciągu dwóch lat dysponentem potężnego przemysłu, w skład którego weszło ponad 100 zakładów. W związku z tym rola Zakładów Kieleckich zmieniła się, znaczenie ich zmniejszyło się w pewnym sensie, wzrosło w innym. Spółdzielczość przejmując szereg zniszczonych zakładów przemysłowych musiała znaleźć środki na ich odbudowę. Na fabrykę kielecką spadło ciężkie zadanie dostarczenia tych środków. Aby je zdobyć i jednocześnie żeby spełnić swoje zadanie społeczne już teraz nie na odcinku spółdzielczym tylko, ale w skali ogólnopaństwowej należało postawić sobie trzy cele na rok 1947. 1) Rozbudowa ilościowa produkcji, 2) obniżenie jej kosztów, 3) podniesienie jakości.

Dla ilustracji osiągnięć na odcinku wzmożenia wydajności, można przytoczyć kilka przykładów:

Wydajność octowni jest największa w kraju i dochodzi do wydajności teoretycznej osiągalnej w aparatach Fringsa. Własnymi siłami bez pomocy obcych fachowców, został zbudowany nowy aparat do produkcji octu o pojemności 99 tysięcy litrów. Dotychczas jedynymi fachowcami w tej dziedzinie u nas byli Niemcy. Wydajność drożdżowni wzrosła w ciągu roku z niecałych 60 na prawie 80%, a w niektórych miesiącach przekracza tę wartość. Wydajność tartaku i skrzynkowni została podniesiona również o 20%. Począwszy od maja bież. roku ani jedna skrzynia do drożdży — (a robi się ponad 5 tysięcy sztuk miesięcznie) — nie została zrobiona z desek. Sporządza się je z wszelkiego rodzaju odpadków tartacznych, które poprzednio szły na opał. Jeśli porównać pierwsze półrocze 1946 r. i pierwsze półrocze 1947 r. to okaże się, że przy wzroście produkcji o około 100% ilość zużytych robotogodzin wzrosła zaledwie o 10%.



Robotnik fabryki kostek rosołowych bacznie obserwuje przez wizjer proces tworzenia się substancji mającej zapewnić smak zupom.



Potężny aparat do produkcji drożdży, wykonany wyłącznie własnymi siłami bez pomocy obcych fachowców. Dotychczas wyłącznymi specjalistami w tej dziedzinie byli Niemcy.

Jeżeli chodzi o podniesienie jakości produkcji — to sprawa ta ma dziś specjalnie doniosłe znaczenie. Jest ona przedmiotem badań kierownictwa laboratorium i całego personelu fachowego. W rezultacie podniesiono znaczenie i jakość takich artykułów jak: drożdże, kosmetyki, pastę do obuwia, a przede wszystkim tzw. kostki rosołowe (kostek bulionowych nie produkuje się obecnie w Polsce z braku ekstraktu mięsnego). Ponieważ jest to artykuł oparty całkowicie na surowcach zastępczych, przeto wymagał do ostatecznego opracowania prawie pół roku czasu. W efekcie produkowany przez Zakłady towar jest pod względem odżywczym równo wartościowy, a pod względem smakowym niewiele ustępuje przedwojennym kostkom bulionowym. Zakłady wolały raczej nie wykonać zakreślonego planu, niż wypuścić na rynek artykuł bezwartościowy, jak to czynią pewne fabryki pozbawione skrupułów i tradycji.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o aspekcie socjalnym samej fabryki. Fabryka ta nie posiada w ogóle tradycji wyzysku. Robotnicy, od początku istnienia Zakładów wiedzą, że pracują tutaj u siebie i dla siebie. Dzięki temu, ich wysiłek w kierunku podniesienia ilościowego i jakościowego produkcji jest duży. Współpraca Rady Zakładowej z Dyrekcją — szczera. Fabryka jest terenem zgodnego współdziałania obu partii robotniczych. Życie kulturalne i społeczne rozwija się żywo. Dumą Zakładów Kieleckich jest słynna już dzisiaj Kapela Świętokrzyska, składająca się z robotników fabryki. Jej specjalność — to melodie regionalne bogatej w folklor Kielecczyzny. Robotnicy posiadają świetlicę, basen pływacki, chór, klub sportowy, szereg kół samokształceniowych itp. Zakłady Kieleckie to nie tylko ośrodek przemysłowy, ale również i kulturalny promieniujący szeroko na okolicę.

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Zagadka czternasta, zamieszczona w Nr 44 (68) „Tygodnia" dała nam w rezultacie rekordową ilość odpowiedzi, bo 486, z czego zaledwie pięć błędnych. Pozostali zgodnie orzekli, że rozwiązanie brzmi:

„Baba z wozu, koniom lżej"

Za miłe listy bardzo dziękujemy i prosimy o dalszą współpracę z nami oraz o nadsyłanie uwag i życzeń pod adresem Redakcji.

W drodze losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Maria Konikowska — Prądnik Opolski Pl. 3-go Maja 1.

Janeczka i Zosia Kołczykiewicz — Strzelin k Wrocławia, ul. Wrocławska 47.

Lucyna Kaczmarkówna — Kraśnik — Kościuszki 4—3.

Bronisława Deręgowska — Środa, ul. Niedziałkowskiego 11 m 4.

Bronisława Smoleń — Łobacz, młyn „Społem".

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Ewa Uchmańska — Radość, ul. Kopernika 17—3.

Rena Bartoszewicz — Opoczno.

Jerzy Kuliński — Limanowa, Państwowe Liceum i Gimnazjum w Sowlinach.

Marian Kądziołka — Nowy Sącz, ul. Kilińskiego 73.

Gerard Gontarz — Kępa Celejewska p-ta Wilga pow. Garwolin.

Helena Kaszuba — Zgłobień (grobla) woj. Rzeszów.

Jerzy Katarzyński — Koźmin Wielkopolski — Państwowe Gimnazjum Ogrodnicze.

Aleksander Jurczak — Mława, ul. Bagno 4.

M. Meisnerówna — Dzierżoniów (Dolny Śląsk), ul. Nowomiejska 14.

Marian Cypel — Janów Podlaski, Pl. Partyzantów Nr 17.

Prosimy nie nadsyłać odpowiedzi anonimowych, bo nie będą brane pod uwagę przy losowaniu.

Nagrody bieżące i zaległe z poprzednich numerów wysyłamy dziś pocztą.



Powyżej podajemy zagadkę Nr 16, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

5 NAGROD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGROD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 25 listopada br.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień".

Redaguje: Zespół redakcyjny.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa Szpitalna 5 m. 8.

Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.

TELEFONY: Redakcji 86-164
Administr. 88-715

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Prenumerata miesięczna 75 zł. [illegible]czna—450 zł. roczna 900 zł.

Konto PKO Warszawa Nr I-4766

Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.

Ogłoszenia za 1 mm wysokości [illegible] szerokość 1 szpalty — 75 zł [illegible] — 50% drożej

R. S. W. „PRASA". Z[illegible] [illegible] 12. B-30389

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Wydany w Stanach Zjednoczonych A. P. dnia 9 czerwca br. znaczek trzy centowy, reprodukowany w dzisiejszym kąciku, a dostarczony nam przez Biuro Filatelistyczne T. Gryżewski (Łódź, Piotrkowska 51), został w ciągu kilku dni rozsprzedany w ilości 1.400.000 sztuk. Prócz tego 500.000 egzemplarzy zostało zużyte na „kopertach pierwszego dnia". Razem więc prawie dwumilionowy nakład został natychmiast rozchwytany. Znaczek ten z napisem „The Doctor", wydany — jak głosił oficjalny komunikat — dla uczczenia wszystkich lekarzy stojących na straży zdrowia ludzkiego, został wykonany według znanego obrazu angielskiego „Kryzys" pędzla Sir Luke Fildesa.

*

Bułgaria ucieszyła zbieraczy motywów sportowych wydaniem serii „Bałkańskie gry 1947", składający się z pięciu wartości: 2 leva (czerwonofioletowy), 4 leva (zielony), 9 leva (jasnobrązowy), 20 leva (niebieski) i 60 leva (czerwonobrunatny). Środkowa z tych wartości wyobraża stylizowanego konia szachowego. Jest to pierwszy wypadek umieszczenia na znaczku figury szachowej.

*

Ukazał się już nowy katalog Zumsteina na rok 1948. Już na pierwszy rzut oka widać, że Polska — dotąd traktowana po macoszemu — doczekała się wreszcie lepszego potraktowania. Przedwojenne znaczki emisji złotowej, zwłaszcza niższe wartości, zostały już w nowym katalogu wycenione znacznie wyżej.

*

W Polsce prasa filatelistyczna nie cieszyła się, niestety, nigdy zbytnim uznaniem i zawsze trudno było znaleźć dla niej wydawcę. Tym nie mniej w chwili wybuchu wojny ukazywały się trzy pisma: we Lwowie „Ilustrowany Kurier Filatelistyczny" (od 1924 r.), w Poznaniu: „Ilustrowane Wiadomości Filatelistyczne" (od 1932 r.) i w Białymstoku „Ikaros" (od 1930 r.). Prócz tego wychodziły w Polsce pisma poświęcone wymianie znaczków, jak np. w Warszawie „Universal - Union", lub w Bydgoszczy „Kurier - Filatel".

Dziś w dwa i pół roku po zakończonej wojnie, nie możemy doczekać się ani jednego pisma.

Witold J. Orłowski

VI KONKURS „TYGODNIA" na rozrywki umysłowe

Dziś kończymy nasz VI Konkurs na Rozrywki Umysłowe ogłoszony w Nr 37 (61) „Tygodnia". Skracamy go więc o tydzień, gdyż w następnym numerze ogłosimy „Konkurs Gwiazdkowy". Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma największej zdobytych puntków decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia" w Warszawie, ul. Szpitalna 5 m 8, do dnia 1 grudnia br. Szczęśliwym zwycięzcom Konkursu przyznane będą wartościowe nagrody książkowe.

Dziś zamieszczamy kupon konkursowy i prosimy naszych czytelników o wytypowanie na nim trzech najlepszych zadań zamieszczonych w ramach VI Konkursu. Autorzy tych zadań otrzymają specjalne wartościowe nagrody książkowe.

Projekty zadań do „Konkursu Gwiazdkowego" przyjmujemy do dnia 1 grudnia br.

CIĄGÓWKA PODWÓJNA

Do figury poniższej wpisać jednym ciągiem, poczynając od A odśrodkowo, szereg wyrazów o podanym niżej znaczeniu, tak, aby czytając od B dośrodkowo stwierdzić szereg nowych wyrazów o podanym również znaczeniu. Cyfry w nawiasach oznaczają ilość liter w każdym słowie.

Znaczenie wyrazów czytanych od A odśrodkowo:

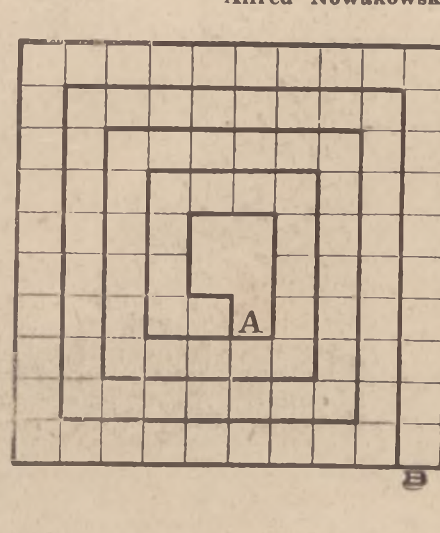
Drewniane obuwie, używane we Francji (5) — Ptak morski (4) — Roślina podzwrotnikowa (6) — Ssak afrykański (5) — Guma żywiczna z Indii Wsch. (4) — Gorący i suchy wiatr w płd. Hiszpanii (6) — Ludowy instrument muzyczny (5) — Twierdzenie naukowe (4) — Staroświecki taniec francuski (4) — Pochwa na strzały do łuku (6) — Narzędzie rolnicze (5) — Turecki mędrzec, lekarz i sędzia (5) — Ssak australijski z rzędu workowatych (6) — Usychanie wierzchołka drzewa (4) — Wysoki brzeg parowu, pokryty lasem (3) — Wódz, przywódca (6) — Potwierdzenie, pozwolenie (8) — Metal srebrzysty, używany w lecznictwie (3) — Rodzaj palmy (6).

Znaczenie wyrazów czytanych od B dośrodkowo:

Nasada u sani, łącząca płozy (4) — Kompozytor, literat i rysownik w XIX w., autor „Albumu Polski" (4) — Część długu lub należności (4) — Pierwiastek chem. (3) — Letni kapelusz pleciony (8) — Śpiewający ptak wróblowaty, zamieszkujący Amerykę płd. (7) — Wysoka godność szlachecka w dawnej Rosji (5) — Figura ludzka ze słomy, obnoszona na wsi w czasie Zielonych Świąt (3) — Minerał łupliwy (4) — Czołobitność, oddanie czci (4) — Szczęśliwa kraina (7) — Legendy skandynawskie (4) — Pismo periodyczne (6) — Rodzaj tkaniny (8) — Miasto w Japonii (5) — Drzewo liściaste (4) — Orzech kokosowy (5) — Mieszkaniec wysp Sandwickich (5) — Pora roku (4) — Instrument muzyczny (3).

Ułożył

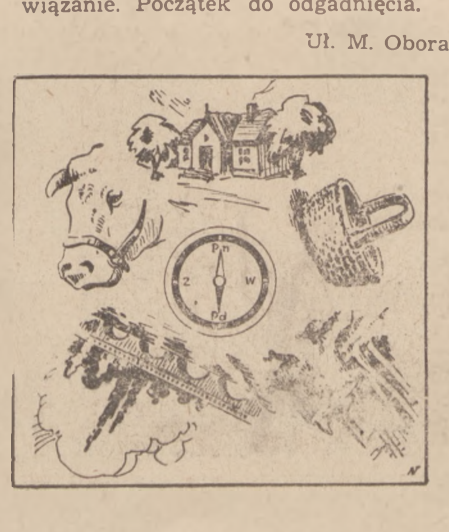
Alfred Nowakowski



REBUS

Odgadnąć znaczenie 6 wyrazów, po czym z wyrazów narysowanych na obwodzie skreślić litery, wchodzące w skład słowa, narysowanego w środku. Pozostałe litery dadzą ostateczne rozwiązanie. Początek do odgadnięcia.

Uł. M. Obora



SZARADA

300 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 300 zł otrzymał P. Mieczysław Rybiański (Miedzianka — Browar „Społem" poczta Janowice Wielkie) za nadesłanie wycinka z „Robotnika" Nr 298 z dnia 1.11 br. (szkoda, że nie z 1.4.) pt.

WYŚCIG PRACY OCTOWNI PAŃSTWOWYCH I SPÓŁDZIELCZYCH

„Produkcja octu 6% wynosi obecnie 15 miln. litrów miesięcznie. Z tego „Społem" produkuje 600 tys., państwo — 600 tys. i wytwórnie prywatne około 300 tys. Największą wydajność mają fabryki „Społem", osiągnięto bowiem 15 tys. litrów octu 6% z 1 litra spirytusu przy normie obowiązującej 13 litrów.

Podniesienie wydajności, wobec trudności inwestycyjnych, może być osiągnięte drogą szkolenia pracowników".

I są jeszcze ludzie, którzy nie doceniają statystyki. A przecież tylko dzięki niej produkujemy miesięcznie 10 razy więcej octu, niż wszystkie trzy sektory razem wzięte. Nie koniec na tym... Fachowcy społemowcy, dzięki umiejętnym metodom speców od statystyki, potrafili wyprodukować 600 tys. litrów 6% octu z... 40 litrów spirytusu (15 tys. litrów z 1 litra spirytusu). To się nazywa wydajność. Po co więc jeszcze urządzać kursy dla pracowników octowni. Czy po to, żeby produkowali wodę, nie ocet?

JAK SIĘ ZWAŁ TAK SIĘ ZWAŁ

„Dziennik Łódzki" w Nr 307 (857) podaje:

„Dawne kroniki Tuszyna mówią, że roku łońskiego... król Jagiełło polował w lasach tuszyńskich na zające, dziki i niedźwiedzie..."

Są w języku polskim takie zwroty: łońskiego roku, dosiego roku, latosiego roku — bardzo piękne, ludowe, samorodne, nieprzetłumaczalne na żaden język. Ale trzeba je rozumieć. Może autor chciał w danym wypadku powiedzieć „roku Pańskiego", ale mu się to wydało niedemokratyczne, a „łoński" zawsze trąci wsią, choć chłop uśmieje się, gdy przeczyta, że Jagiełło w roku zeszłym polował pod Łodzią.

MAKABRA

Na stacji kolejowej Skarżysko — Kamienna w poczekalni I i II klasy umieszczono następujące ogłoszenie:

UWAGA!

„W dniu 14.9.1947 r. o godz. 10-ej odejdzie ze stacji Skarżysko do stacji Wołów pociąg specjalny.

Powrót o godz. 14-ej.

Dowóz na miejsce straceń samochodami w pierwszym rzędzie chorych, osób starszych i dzieci, nastąpi od godz. 8-ej z następujących punktów:

Dla wytwórni sprzed Pomnika Wolności Kol. Rob. dla miasta sprzed biura komitetu ul. Staszica 12".

Wprost wierzyć się nie chce, aby we wrześniu 1947 r. w wolnej Polsce tracono: chorych, osoby starsze i dzieci. Żądamy wyjaśnień, ile osób, z jakiego powodu i z czyjego polecenia w dniu tym stracono.

(nadesłał Władysław Lichota „Społem" Szczecin).

Afisz ten znajduje się w posiadaniu Redakcji.

VI KONKURS »TYGODNIA« NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

Najlepsze zadania

1 ....

2 ....

3 ....

Imię i nazwisko głosującego

....

Adres ....

wypełnić i przesłać do Redakcji „Tygodnia"

Jadwiga Żylińska

MODA
POPRZEZ HISTORIĘ



Wiek XIV



Kreacja A. D. 1150

Z początku nie było mody, tylko Diabeł, który modę wymyślił. Diabeł był ubrany w pierwszą modną suknię, w której został uwieczniony na współczesnej miniaturze. Suknia była obcisła, z boku rozcięta, przez które to rozcięcie widoczne były nie tylko łuską pokryte nogi, ale i ogon. Długi tren i skrzydlate rękawy uzupełniały tę pierwszą kreacją sztuki modniarskiej, zaprezentowaną światu przez samego diabła A. D. 1150.

Przynęta diabelska chwyciła. I to tak skutecznie, że moda zaczęła dyktować prawa nie tylko światu niewieściemu, ale i męskiemu.

Jeszcze w XII wieku paradny strój męski był bardzo zbliżony do niewieściego: tunika jedwabna, na to zwierzchnia szata z drogocennej materii i płaszcz futrzany, który — o ile nosił go panujący — bywał z gronostajów. Rycerze średniowieczni przykładali ogromną wagę do świetności ubrania, co poniekąd kontrastuje z dzikością ich obyczaju, wytrzymałością fizyczną i zdobywczością.

Wyprawy krzyżowe i zetknięcie się z kulturą Arabów wywarły nie mały wpływ na obyczaj i modę rycerstwa Zachodu. Więc przede wszystkim zaszły pewne zmiany w uzbrojeniu. Dla ochrony przed upalnym słońcem, rozpalającym metalowe kolczugi, rycerze zaczęli nakładać na nie długie do kostek, jedwabne tuniki, rozcięte po bokach, aby nie przeszkadzały w konnej jeździe. Tuniki te często były haftowane w herby i inne emblematy. Pewną inowację stanowią pancerze z płytek, na miejsce dotychczas używanej siatki drucianej. Małe obcisłe hełmy z XI wieku są zastąpione przez hełmy z przyłbicą. Do świetności ubiorów również przyczyniają się turnieje, które były nie tylko rewią siły i waleczności, ale i paradnego wyglądu.

Do obowiązków rycerza należała obrona kościoła, walka z niewiernymi, opieka nad biednymi, utrzymywanie pokoju w kraju i gotowość oddania życia za braci. W rzeczywistości jednak w XIII wieku element rycerski został mocno zdystansowany przez dworski, o którym Gerald of Wales opowiada, że był „przesadny w mowie i w gestach, łasy na pochlebstwie, skłonny do plotek i nadewszystko rozmiłowany w strojach". A stroje w owym czasie były z przecudnych materii, tkanych w ptaki, gryfy, drzewa, smoki, wiewiórki i herby. Bogatsi panowie sprowadzają tkaniny z zagranicy: włoskie jedwabie, srebrem i złotem przetykane materie z Lukki i flamandzkie sukna. Królowie i książęta noszą szaty haftowane perłami i złotem a futra spinają kosztownymi klamrami. Okrycia futrzane lub bramowane futrem są w powszechnym użyciu, może dlatego, że rycerze średniowieczni większość dnia spędzali na wolnym powietrzu.

Na dworach panujących istniał zwyczaj, ażeby cała świta miała szaty z jednakowego materiału, co musiało wyglądać bardzo efektownie podczas uroczystych wystąpień. Któryś z królów posunął się tak daleko, że kazał ubrać jednakowo swoich dworzan, sędziów, kata i co ważniejszych więźniów.

Zachód był już—mówiąc językiem współczesnym — „zgniłym Zachodem" — gdy w Polsce panowała surowa, barbarzyńska prawie prostota obyczaju i stylu życia: Polska dzielnicowa nie była specjalnie atrakcyjna dla cudzoziemców; nie posiadała uniwersytetów jak Anglia, Francja, Włochy i Niemcy, ani imponującego dworu królewskiego. Stolicą europejską, ściągającą zagraniczne rycerstwo, stał się dopiero Kraków Jadwigi i Jagiełły. Kraków, do którego zjeżdżali cudzoziemcy, wprowadzając obyczaj i modę zachodnią.

Nie było chyba epoki, w której rycerze ubieraliby się tak rozmaicie i fantazyjnie, jak w wieku XV. Następne wieki wprowadziły dużo finezyjnych szczegółów, więc choćby te nieliczne bufki i krezy w wieku XVI, rękawiczki, żaboty i pióra w XVII, ale żadna moda, jakkolwiek skomplikowana nie może wytrzymać konkurencji z krasą i pomysłowością wieku XV. Rycerz XV wieku zaćmiewa całkowicie swym kostiumem o wiele mniej efektowną suknię kobiecą. Przypomnijmy sobie tylko Zbyszka z Bogdańca, odzianego w strój, zdobyty na rycerzu fryzyjskim, w białą „jakę", naszywaną w złote gryfy, czerwone trzewiki z długimi nosami, spodnie, z których jedna nogawica była w pasy czerwone i zielone, druga w żółte i fioletowe, obie zaś kończyły się u góry pstrą szachownicą. Wobec tej wspaniałości ubioru męskiego bledną zupełnie toalety dam, — zwłaszcza w Polsce — gdzie trudniej było kobiecie o model zagranicz ny niż mężczyźnie, który go często po prostu zdobywał.

W w. XV i XVI wzrasta niepomier nie dobrobyt zachodniej Europy, a luksus w ubraniu zaczyna się rozszerzać również na mieszczaństwo. To też zostają uchwalone pewne ustawy, normujące sposób ubierania.

Rycerze i panowie XVI wieku ubierają się w aksamity, jedwabie i tafty. Kapelusze zdobią piórami, w uszach noszą kolczyki, na palcach pierścienie, sztylety mają wysadzane klejnotami. Fryzury układają w loki, brody strzygą według mody francuskiej, włoskiej lub hiszpańskiej i nacierają je wonnościami. Młodzi ludzie ściągają się w pasie, ażeby zmniejszyć obwód talii i noszą trzewiki na wysokich abcasach, ażeby podwyższyć swój wzrost. Rękawy mają zdobne w niezliczone bufki i nacięcia, u pasków zawieszają lusterka. Są oczytani, interesują się teatrem i trochę Reformacją, a ponieważ w poszukiwaniu drogi do Indii została odkryta Ameryka, więc już otwarcie przyznają się, że wyruszają po łupy, a nie na wojnę z niewiernymi.

Wraz ze zmianą techniki wojennej zmienia się również uzbrojenie. Rycerze nie są już więcej „zakuci w stal", pancerze wprawdzie nie wychodzą z użycia, ale nie zakrywają całego ciała. Poszczególne części pancerza bywają przymocowane do zwykłej tuniki dla ochrony ramion, rąk i piersi.

Moda z czasów wojny trzydziestoletniej odznacza się dystynkcją w porównaniu ze strojem renesansowym. Czarne aksamitne ubranie, biały koronkowy kołnierz i mankiety oraz kapelusz z piórami — oto strój rycerza wieku XVII, strój w jakim książe Bogusław Radziwiłł został przedstawiony Olence Billewiczównie. Książę miał uróżowione policzki i usta, długie loki, opadające na ramiona. Diamentowy pas i złoty łańcuch uzupełniały jego ubranie. Fakt, że dziś mężczyzna różujący policzki lub robiący „trwałą ondulację" wydaje nam się śmieszny, wynika tylko z obowiązującego w naszej epoce konwenansu i jest kwestią mody, a nie zasadniczych dyspozycji: przy tej bowiem „zniewieściałej", jak byśmy dziś powiedzieli, aparycji, książę Bogusław był niezrównanym rycerzem, znanym na dworach niemieckich i we Francji, z dzikiej odwagi.

Druga połowa XVII wieku mieści już w sobie zapowiedź mody Rococa. Niebawem mężczyźni nałożą białe peruki z warkoczami, krótkie spodenki, koronkowe żaboty i bardzo kunsztow ne, zdobne w hafty i guziki „fraki". Rococo było modą epoki dekadenckiej, odchodzącej, skończonej. Istnieje jednak w modzie jakaś szczególna właściwość, tak sugestywna, że ludzie wyłamujący się z szablonu myślenia swo jego czasu, poddają się jej w ubiorze. Jest w tym jakaś nuta niewątpliwie humorystyczna, że najświetlejsze jednostki w państwie Ludwika XV i XVI nosiły peruczki z warkoczami, które zresztą absolutnie nie przeszkadzały im w racjonalistycznym sposobie myślenia. Koniec panowania Ludwika XVI i Marii Antoniny przygotowuje zmianę mody, którą w pełni przeprowadzi epoka Rewolucji. Przejście z Rococa do Directoire'u jest najgwałtowniejszym zwrotem w historii mody. Po modzie najbardziej sztucznej i skomplikowanej, w najwyższym stopniu nienaturalnej i niezdrowej nastąpiła epoka wzorów klasycznych w strojach kobiet i pierwsza próba ustalenia uniformu w modzie męskiej.

Do r. 1800 strój męski i kobiecy był utrzymany w jednym stylu: kapelusze z piórami, krezy lub koronkowe kołnierze, rękawy, wlokące się po ziemi lub bufiaste i zdobne w nacięcia, materiały wzorzyste lub haftowane, białe peruki lub loki spadające na ramiona — wszystkie te szczegóły, decydujące o modzie — obowiązywały zarów no kobiety jak mężczyzn. Dopiero w wieku XIX następuje rozłam między modą kobiecą i męską, przy czym moda męska rozwija się mniej więcej do r. 1860. W tym czasie zostaje ustalony pewien wzór, który trwa po dziś dzień. Miejsce kolorowych fraków i kamizelek w kwiatki zajmuje, obowiązujący na wieczór strój czarnobiały, utrzymany w stylu pomiędzy żałobnikiem a kominiarzem. Szare i brunatne kolory przyjęte na ubrania przedpołudniowe i sportowe. Zresztą podział na strój wieczorowy i przedpołudniowy ustalił się dopiero około r. 1850. Mniej więcej w tym czasie krystalizują się fasony męskich kapeluszy, które bez większych zmian utrzymały się po dziś dzień.

Rys. J. Żylińska



Wiek XV



Wiek XVI



Wiek XVII



Wiek XVIII



Rok 1831